

# Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 8 - 15 sierpnia 1948 r.

Nr 32-33 (161-162)

## W NUMERZE

między innymi:

- L. Bazylow — Przed Zjazdem Historyków we Wrocławiu
- Z. Nałkowska — Ze „Zwierzeń“
- L. Sobierajski — Z Wystawy Wrocławskiej — o reportażu
- A. Kamińska — „Inteligent chłopski“ — bez dogmatu!
- W. Strzebiński — Obraz Łodzi kapitalistycznej
- E. Małanczówna, J. Pierzchała, T. Urgacz — Wiersze
- A. Olechnowicz — Oto wieś!
- J. Faleńczyk — Rezerwy

Seweryn Wysłouch

## Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych

W najbliższych numerach „Wsi“ ukaże się cykl artykułów, poświęconych historycznym, ekonomicznym i kulturalnym problemom Ziem Odzyskanych.

Cykl rozpoczyna szereg artykułów Profesora Uniwersytetu Wrocławskiego Prof. Dra Seweryna Wysłoucha, który, jako Pełnomocnik Rządu, przy współdziałaniu profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego, zorganizował Wystawę Historyczną Ziem Odzyskanych.

### REDAKCJA

Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych, w ramach ogólnej Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, została zorganizowana przez grono pracowników naukowych pod kierunkiem profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego. Ma ona za zadanie przedstawienie dziejów Ziem Odzyskanych oraz ludności polskiej odwiecznie je zamieszkującej.

Zadanie trudne, zważywszy na szczupłość miejsca i wielość tematów, jakie winny być tu poruszone. Znaczną trudność stanowi ponadto fakt, że losy polskości na Ziemiach Odzyskanych to temat dotychczas bardzo słabo opracowany w nauce polskiej. Na upośledzenie badań w zakresie dziejów polskości w dużej mierze złożyło się: brak dostępu do materiałów źródłowych, zazdrośne strzeżonych w niemieckich archiwach, oraz wybitne tendencyjny charakter prac uczonych niemieckich, nasświetlających dzieje wschodnich prowincji Niemiec pod kątem widzenia interesów narodowych i politycznych niemieckiej racji stanu.

Zadanie więc wystawy wrocławskiej to nie tylko syntetyczne zestawienie dotychczasowych wiadomości o tych ziemiach, ale w dużym stopniu samodzielne prace badawcze, odkrywające nowe, prawie całkowicie nieznane karty historii polskości pod zaborem pruskim.

W tych warunkach organizatorzy Wystawy Historycznej Z. O. musieli się ograniczyć do wskazania pewnych zasadniczych linii rozwojowych w życiu Polaków pod panowaniem pruskim, rezygnując z możliwości bardziej analitycznego przedstawienia poszczególnych zagadnień.

Do zagadnień najbardziej znanych należą dzieje polityczne Ziem Odzyskanych. Proces ekspansji niemieckiej na wschód, próby odcięcia Polski od morza, zaciskanie się klisz niemieckich dookoła Polski, wyniki te stały wieloletnie zmagania o dostęp do morza, wreszcie rozbiory Polski i najdalszy zasięg niemieckiego pochodu na wschód — to fakty nie budzące wątpliwości w nauce polskiej.

Inaczej wygląda sprawa całokształtu życia polskiego na Śląsku i Pomorzu pod władztwem niemieckim. Te zagadnienia są na ogół mało znane, zwłaszcza w szerszych kołach społeczeństwa polskiego.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak naprawdę bujne i bogate było życie polskie na Ziemiach Odzyskanych i to nie tylko w średniowieczu, kiedy Śląsk stał się jednym z głównych ośrodków kultury artystycznej, umysłowej i politycznej Polski, ale i później kiedy to pod obcym panowaniem polskość nie zamarała, odwrotnie utrzymywała bliskie węzły kulturalne, gospodarcze i umysłowe z Macierzą i kiedy wybitni synowie Śląska i Pomorza rozslawiali w świecie imię Polski swymi pracami i odkryciami naukowymi i artystycznymi.

Przedstawienie i wykazanie przy pomocy licznych zdjęć fotograficznych kultury artystycznej wspaniałych budowli fundowanych i wznoszonych przez polskich budowniczych i rzemieślników na całym terenie Ziem Odzyskanych, często opartych o wzory budownictwa Polski centralnej — to jedno z zadań Wrocławskiej Wystawy Historycznej.

Niemniejże znaczenie ma wykazanie, jak żywe więzy łączyły życie umysłowe Śląska i Pomorza z Macierzą, jak często słowo i druk polski z Ziem Odzyskanych promie-



Ofiara św. Łukasza z kościoła Marii Magdaleny we Wrocławiu, wykonany w/g ryciny Wita Stwosza

niały na całą Polskę zarówno w wieku XIII jak i XVI — XVII. Łączność umysłową może najdobitniej ilustruje mapa zasięgu Uniwersytetu Jagiellońskiego w XV w., kiedy to wśród studentów krakowskich widziemy liczne rzesze młodzieży ze wszystkich ośrodków Ziem Odzyskanych.

Niemniejże znaczenie mają więzy gospodarcze: dobrobyt Gdańska wyrósł na eksporcie zboża polskiego, rozwój handlowy Wrocławia na jego udziale w wielkim handlu tranzytowym z Krakowem i innymi miastami Polski. Żywy kontakt handlowy sprowadzał kupców Ziem Odzyskanych do Polski i odwrotnie — roili się miasta Śląska i Pomorza od gości z Macierzy. Wzajemne zaś stosunki wymienne ponad granicami politycznymi utwierdzały związki i łączność ogólnonarodową Polaków.

Mimo niewątpliwie bardzo ciekawą problematykę życia polskiego na Ziemiach Odzyskanych we wczesnym i późnym średniowieczu, na czoło Wrocławskiej Wystawy Historycznej wysuwa się okres ostatnich lat dwustu.

W pierwszej połowie XVIII w. zostały położone podwaliny pod gmach pruskiego imperializmu. Okres ten inicjuje budownictwo nowoczesnego państwa pruskiego — Fryderyk II. Z momentem wcielenia Śląska w 1742 roku rozpoczyna się z całą premedytacją prowadzony proces eksterminacji żywiołu polskiego na obszarach państwa pruskiego. Hasło germanizacji bez oglądania się na środki staje się kamieniem węgielnym całej polityki Berlina w stosunku do Polaków przez okres lat dwustu.

Dzieje tego okresu to niewątpliwie najmniej znany fragment dziejów Polski. Stąd organizatorzy Wystawy Wrocławskiej ześrodkowali maksimum wysiłku, by wypełnić istniejące luki w literaturze naukowej polskiej i by pokazać, jak konsekwentna i nieubłagana w środkach była polityka pruskiego imperializmu i jak nieprawdopodobnie odporna była postawa ludu polskiego, który osamotniony, pozbawiony swej inteligencji, całkowicie podporządkowany wielkiemu obszarowi i kapitalistom niemieckim, bronił zacięcie swej pol-

skości i trwał, by po latach dwustu w znacznie wprawdzie zmniejszonej liczbie doczekać powrotu do Macierzy.

Bohaterem tego okresu są bezimiennie masy polskich robotników i chłopów, które o polskość walczyły, gnieły i zwyciężyły, mimo że pozostawione same sobie, skazane były na całkowitą zagładę.

Dzieje tej walki Wystawa Wrocławska ujmie w ramy chronologiczne. W pierwszej części zostały zgromadzone edykty i rozporządzenia germanizacyjne Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma oraz znaczna ilość materiałów archiwalnych, ilustrujących metody wprowadzania ich w życie.

Znany edykt Fryderyka II z dn. 8. VI. 1764 r. inicjuje plan germanizacji ludności polskiej bezceremonialnie stanowiąc: „Ponieważ usilnie pragniemy, aby w tych okolicach i miejscowościach, gdzie podwładni władają tylko językiem polskim (cały Śląsk Górny i większość Śląska Dolnego), język niemiecki coraz więcej się rozpowszechniał...“ aby:

„1) żadne dominium pod karą 10 tal. za wypadek wykroczenia nie odważyło się od dzisiejszego dnia ze swoich poddanych obojętnej płci przyjmować kogokolwiek za służących lub za czeladź folwarczną, który by po niemiecku nie rozumiał; 2) żadnej dziewczynie, która 16 roku jeszcze nie ukończyła, nie wolno z ogłoszeniem tego rozporządzenia udzielić zezwolenia na małżeństwo, dopóki po niemiecku się nie nauczy; 3) podwładnemu płci męskiej, który nie ukończył 20 roku życia, nie należy również udzielić pozwolenia na ożenienie się, dopóki się po niemiecku nie nauczy...“

W cyrkularzu z dn. 24. V. 1764 r. Fryderyk II stwierdza: „z największym niezadowolaniem dowiedzieliśmy się, że na Śląsku we wsiach, w okolicach całkowicie polskich są zatrudnieni nauczyciele nie będący w stanie nauczać języka niemieckiego, tak, że młodzież wzrasta jak bydło“.

Stąd cały aparat urzędniczy, szkolny i duchowny musi się podporządkować zasadom polityki germanizacyjnej. Polacy winni być ze wszystkich stanowisk usunięci, by nie mogli oddziaływać na masy ludowe.

Niewiele się różnią rozporządzenia Fryderyka Wilhelma. W dn. 30. IV. 1789 r., a więc w okresie t. zw. przymierza polsko-pruskiego czasu sejmu czteroletniego, nakazuje on Konsystorzowi we Wrocławiu: „uważamy za konieczne zniesienie języka polskiego i wprowadzenie niemieckiego na całym Śląsku i że od tej chwili nie należy dopuścić nikogo do nauki religii i do św. komunii, kto nie posiada pewnej biegłości w języku niemieckim...“

Postanowienia edyktów królewskich nie były tylko pogroźkami. Zachowane przekazy źródłowe stwierdzają, że były one wprowadzane w życie i że spotykały się już wówczas ze zdecydowanym oporem ludności polskiej.

Zdecydowana postawa chłopów w walce z uciskiem socjalnym i narodowym doprowadzała niejednokrotnie do wybuchu t. zw. buntów chłopskich, surowo uśmierczanych przez władze pruskie. Tak np. w 1765 r. przyszło z powodu ucisku do znanego wielkiego buntu chłopów pod Głupczycami przeciw panom: całe wsie poszły w lasy, a chłopci starali się także zbuntować swoich towarzyszy niedoli w powiatach: bytomskim, toszeckim i pszczyńskim.

Wypadki czynnego oporu zdarzały się częściej, o czym świadczy rozporządzenie królewskie z 7. XII. 1775 r. normujące kary, na jakie poddani buntujący się przeciw dziedzicom mieli być skazywani. Mimo to w 1780 r. wybuchają rozruchy chłopskie przeciw panom na Górnym Śląsku, zaś w 1785 r. w kluczu odmuchowskim i powiecie wałbrzyskim powstały groźne bunt, które trzeba było uśmierzać wojskiem, karząc cielsnymi i więzieniem.

Wypadki czynnego oporu i buntów chłopskich przeciwko uciskowi niemieckich ob-

WARSZAWA 8 - 14 SIERPNIA

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA  
MŁODZIEŻY PRACUJĄCEJ

WROCŁAW 25 - 28 SIERPNIA

SWIATOWY KONGRES INTELEKTUALISTÓW  
W OBRONIE POKOJU



szarników, to reakcja ludzi doprowadzonych do ostateczności. Natomiast o wiele bardziej charakterystyczny jest upór i walka, jaką toczy ludność Ziem Odzyskanych o zachowanie języka polskiego. Występuje to zwłaszcza jaskrawo w walce o język nabożeństw w kościołach ewangelickich na Dolnym Śląsku.

Liczne zachowane raporty pastorów do władz konsystorskich we Wrocławiu wprowadzają nas w zupełnie nieznany świat tragedii przeżywanych przez ludność polską na tle akcji germanizacyjnej władz pruskich w kościele. Bowiernie zgodnie z rozporządzeniami rządu pruskiego „kościół i szkoła muszą działać równocześnie i wspólnie, także jeśli idzie o rozpowszechnianie języka niemieckiego”.

Obok kościoła i szkoły akcji germanizacyjnej służyli przede wszystkim niemieccy obszarnicy. Zasługi ich na tym polu podkreśla pastor König w raporcie do rządu z dn. 5. X. 1835 r. „Kościół i szkoła mogą zdziałać wiele dla rozszerzenia języka niemieckiego i wyparcia języka polskiego, ale nie wszystko. Część najważniejszą mogą spełnić właściciele majątków ziemskich, jeżeli sami nie rozumieją języka polskiego, będą angażowali takich wójtów, urzędników i t. p., którzy nie rozumieją po polsku i będą popierali robotników, mówiących po niemiecku. W sąsiednich powiatach, szcze-

gólnie w oleśnickim (pod Wrocławiem) takie postępowanie zdziało więcej niż nabożeństwa i nauka szkolna”.

Bezwzględne zarządzania germanizacyjne w kościele budziły opór wśród światlejszego duchowieństwa ewangelickiego. Świadczy o tym sprawozdanie pastora Michaelisa z Oleśnicy do rządu z dn. 29. IX. 1835. Wystarczy je zacytować jako bardzo charakterystyczne: „mężczyźni, którzy wychodzą więcej w świat rozumieją po niemiecku, ale nie kobiety. W domu mówią się i modlą się wyłącznie po polsku. Spotkałem w szkole dzieci, które wprawdzie dostatecznie czytały po niemiecku, ale nie rozumiały mnie, gdy pytałem je o ich wiek... Dlatego też ludzie prawie że obiegali mnie z prośbami do królewskiego rządu.

Naczelnicy wsi rzucili się grafowi do nóg i oświadczyli, że we wszystkich domach jest tylko płacz i narzekanie z powodu utracenia przez nich polskich nabożeństw.

Następnego dnia cała masa kobiet... prosiła mnie z obfitymi łzami w oczach, abym ja prosił w ich imieniu...”

Zmiękczony łzami kobiet pastor Michaelis wnosi o pozostawienie nabożeństw polskich w Oleśnicy jeszcze na lat kilka.

Również superintendent Jany ze Strzelina w raporcie z 1822 r. stwierdza: „Lubieś

(pow. brzeski, D. Śląsk) jest gminą prawie całkowicie polską i mało kto rozumie choćby słowo po niemiecku... Byłoby naprawdę niedopuszczalnym okrucieństwem tak wielką liczbę ludzi pozostawić bez nauki, kazań i pociechy w ich mowie ojczystej, którą oni tylko i jedynie rozumieją”, lub pastor Moldy „przez bezwzględne przeprowadzenie najnowszych rozporządzeń germanizacyjnych nauka religij przekształci się w bezduszną tresurę języka niemieckiego.”

Nie brak i oryginalnych petycji składanych przez ludność do władz o zachowanie polskich nabożeństw.

Z braku miejsca zacytuje tylko jedno z pow. Oławskiego z 16. III. 1811 roku do miejscowego pastora: „Z głęboko ściśniętym sercem przedkładamy Panu nasze skargi. Nie przypuszczaliśmy, że Pan nie będzie nam odprowadzał nabożeństw polskich, a tylko zawsze cieszyliśmy się tym, że u nas pozostanie jeszcze tak, jak to było za naszych przodków. Gdy ogłosił nam Pan z ambony, że nie będzie tutaj nabożeństw polskich, przestraszyło nas to tak bardzo i poruszyło do tego stopnia, że Pański kościół, do którego tak chętnie chodziliśmy opuściliśmy z gorzkimi łzami. Czy jest to Pańska wola, że musimy się rozłączyć z tym kościołem, do którego należeli nasi ojcowie i praojcowie? Będzie to dla nas

bardzo ciężkie, ale będziemy do tego zmuszeni, jeżeli nie będzie dłużej nabożeństw polskich...”

Petycje tego rodzaju można mnożyć, a wszystkie one stwierdzają, jaki zdecydowany opór stawiała ludność polska akcji germanizacyjnej. Oczywiście stulecie bezwzględnej polityki germanizacyjnej zrobiło swoje.

Pod uderzeniami pruskiej szkoły, administracji, kościoła, obszarników i kapitalistów kurczył się polski obszar językowy, coraz bardziej spychany na wschód, za Odrę. Mimo to lud polski w walce nie ustawał i w masie swej przetrwał lata najbeznadziejniejszego osamotnienia 1742—1848. Wiosna Ludów obudziła w ludzie polskim nadzieję na lepszą przyszłość.

Stąd żywy oddźwięk hasła wolnościowych wśród ludu polskiego Śląska i Pomorza. Rok 1848 to równocześnie przejście do nowego okresu. Łączy się ten okres z t. zw. Odrodzeniem Narodowym o wielkopomnym znaczeniu dla dziejów polskości Ziem Odzyskanych.

Wystawa Wrocławska Wiośnię Ludów i Odrodzeniu Narodowemu poświęciła dużo miejsca ze względu na szczególne znaczenie tego okresu w dziejach polskości na Śląsku i Pomorzu.

Seweryn Wystouch  
(c. d. n.)

Ludwik Bazylow

## Przed Zjazdem Historyków we Wrocławiu

**W** DNIACH 19—22 września 1948 r. zbiorą się we Wrocławiu przedstawiciele polskiej nauki historycznej, by po raz siódmy publicznie przedyskutować najbardziej obecnie żywe i aktualne zagadnienia z zakresu dziejów Polski. Z sześciu poprzednich zjazdów trzy odbyły się jeszcze przed pierwszą wojną światową (pierwszy w Krakowie w r. 1884), trzy zaś w okresie międzywojennym, w 1925 w Poznaniu, w 1930 w Warszawie i w 1935 w Wilnie. Dzieje polskich zjazdów historycznych liczą zatem lat z górą sześćdziesiąt. Nie należy jednak sądzić, że pomimo tego długiego okresu oraz dość równomiernych odstępów czasowych pomiędzy poszczególnymi zjazdami, łączyły się one stale jakąś jednolitą ideą przewodnią; było nią co najwyżej stałe aktualizowanie tematyki referatów zjazdowych, słuszne zresztą i nieodzowne. Inne kwestie zaprzętały bez wątpienia historyków polskich przed pierwszą wojną światową, inne zagadnienia wysuwały się na czoło zainteresowań w dobie międzywojennej. Dlatego też rezultaty obrad każdego zjazdu są całością pod pewnym względem zamkniętą, stanowiąc z jednej strony skondensowany zarys dorobku historycznego z okresu między zjazdami bieżącym a poprzednim, z drugiej zaś wykładnik tego, co w danej chwili uważano za aktualne i umieszczano na pierwszym planie.

Wszystkie niemal dotychczasowe zjazdy w sposób trochę schematyczny i nie zawsze całkiem naturalny nawiązywały do różnych jubileuszków i rocznic. Tak więc obrady zjazdu wileńskiego z r. 1935 obracały się głównie dookoła stosunków polsko - litewskich w przeszłości, przy czym za punkt wyjścia wzięto pięćsetną rocznicę bitwy pod Wilkomierzem nad rzeką Świętą, gdzie rozgromieni zostali przeciwnicy unii polsko - litewskiej. Bitwa nad Świętą była zatem triumfem idei jagiellońskiej, pojętej jako koncepcja utworzenia jednolitego państwa polsko - litewskiego. Ten problem stanowił podówczas trzon tematyki obrad zjazdu. Wątpliwe, czy spodziewał się ktoś wtedy, że już po kilku latach ukaże się w tak tragicznym świetle fakty, które pod niejednym względem sprowadzić będzie można właśnie do jagiellońskiej ekspansji na wschód, ekspansji o kilkusetletnim wprowadzie efekcie — lecz bez treści i znaczenia dzisiaj. Dopiero najnowsze badania wykazują i w najbliższej przyszłości prawdopodobnie w stopniu jeszcze intensywniejszym wykażą wszystkie aspekty, właściwy całokształt polityki jagiellońskiej, nie pozbawionej poważnych błędów, jeśli chodzi o sferę jej zainteresowań wschodem, lecz przy tym poszczególniejsze aspekty, które mogły być wieloma elementami pozytywnymi, zwłaszcza wobec zagadnień zachodnich.

Obecny Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu staje nie tylko wobec tradycyjnej konieczności przedstawienia i przedyskutowania kilkudziesięciu tematów, o bardzo wybitnym, podobnie jak i poprzednio, wydźwięku aktualnym; staje również wobec nowej rzeczywistości dziejowej, która kształtować będzie odąd całe nasze życie kulturalne. W ogniu drugiej wojny światowej zajaśniały pełnym blaskiem momenty, na które przedtem mało zwracano uwagi, pewne natomiast koncepcje przepadły bezpowrotnie. Jeśli dzieje rozwoju społeczeństw są rzeczywistością korelatem otaczającej je. uchwytnej i zmiennej rzeczywistości, to możemy się przecież pocieszyć, że błędy, jakie czasem w osadzie dziejów popełniamy, nie zawsze muszą być naszą winą; niejednokrotnie właśnie dzięki takim a nie innym warunkom wyciągamy wnioski wręcz odmienne od tych, które należało wy-

prowadzić. Prawdziwy postęp naszej nauki polegać może tylko na nieustannej konfrontacji naszych sądów z tą rzeczywistością, w tym wypadku z rzeczywistością minioną. Zdaje się, że pod tym względem można będzie horyzontom naszej obecnej nauki historycznej zarzucić mniej, niż kiedykolwiek. W tym krótkim okresie, jaki upłynął od zakończenia działań wojennych, pojawiły się takie mnóstwo prac historycznych o tematyce tak różnorodnej, że obfitość tę przypisać chyba należy nie tylko normalnie po każdej wojnie następującej epoce lat tłustych; nie ulega wątpliwości, że przełomowy okres, w jakim żyjemy obecnie, nie odzwierciedla się wyłącznie w unarodowieniu przemysłu i w upowszechnieniu kultury; miejmy nadzieję, że pewien przełom dokona się również w gabinetach uczonych, którzy do wysiłku o dalsze kształtowanie naszej nowej rzeczywistości wystartują z nową po części problematyką; postawić jej będzie trzeba jeszcze pewnie bardzo wiele zarzutów, ale należy wierzyć, że orędownicy jej nie będą ostatni na mecie.

Zjazd obradować będzie w 5 sekcjach. Pierwsza zajmie się dziejami Śląska i Wielkiego Pomorza, druga — dziejami Słowiańszczyzny, trzecia — Wiosną Ludów, czwarta — genezą współczesnego społeczeństwa i państwa polskiego, piąta — polską nauką historyczną po drugiej wojnie światowej. Podział na sekcje wydaje się słuszny i jeżeli chodzi o całokształt pierwszoplanowych obecnie zagadnień, o to, czego współczesne społeczeństwo polskie rzeczywistość potrzebuje i od historyków oczekuje — wyczerpujący. Ustalona już niemal tematyka obrad poszczególnych sekcji potwierdza to przypuszczenie. Wiekowa

rywalizacja Polski i Niemiec na terenie naszych obecnych prowincji zachodnich zakończyła się ostatecznie całkowitym rozgromieniem tysiącletniego agresora i pełnym triumfem pierwotnej i jedynie realnej koncepcji piastowskiej. Zbyt ciężkie były jednak zmagania i zbyt skomplikowane stosunki polsko - niemieckie podczas dziesięciu ubiegłych wieków, ażeby można było przejść na tym odcinku nowej rzeczywistości do porządku dziennego bez drobniagowej, sumiennej i metodologicznie nieskazitelnej analizy tego nawału problemów. Zbyt wiele włożyliśmy w nasze ziemie zachodnie w przeszłości, ażeby przyjąć stan obecny tylko jako rezultat szczęśliwie zakończonych wojen, lub co gorsza, jako cud. Potrzeba nam dokładnego obrazu wszystkich faktów i przemian. W dwudziestu referatach, począwszy od zarysu struktury geograficzno - historycznej polskiej granicy zachodniej, poprzez charakterystykę form przenikania niemieczyny na ziemie polskie, zagadnienie polityki krzyżackiej, kolonizacyjnej, polskości na Śląsku, poprzez obrazy ruchów narodowych, stosunków wyznaniowych i kulturalnych, aż do problemów politycznych na przełomie w XIX i XX — przedstawione zostaną rezultaty dotychczasowych wysiłków uczonych polskich i co jeszcze ważniejsze — perspektywy dalszej rozbudowy tych badań.

Posiedzenia sekcji poświęconej dziejom Słowiańszczyzny wprowadzą nas w problematykę, przechodzącą obecnie swój pełny a tak zasłużony renesans. Zasadnicze znaczenie należałoby tu przyznać referatom, których autorzy sprezydują dzieje stosunków kulturalnych polsko - rosyjskich i polsko - czeskich, przy czym uwzględnione będą również

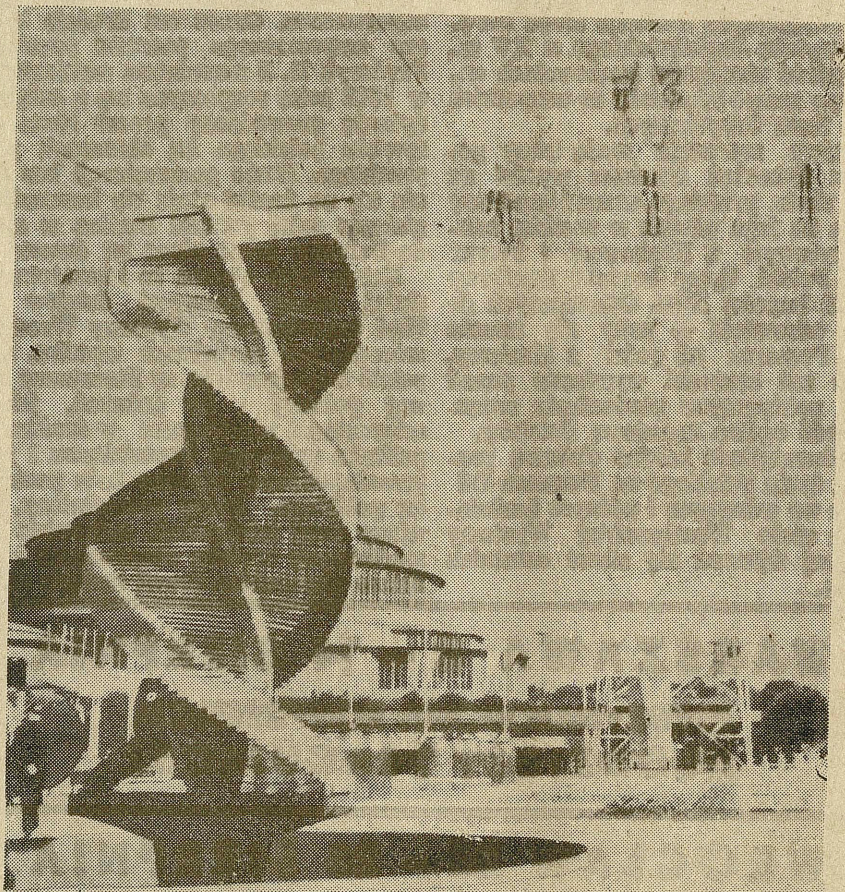
stosunki rewolucjonistów polskich z rosyjskimi. Konieczność oparcia się Polski o państwa słowiańskie w obecnej konstelacji politycznej Europy nie ulega już chyba dla nikogo wątpliwości. Rozwój stosunków Polski z resztą Słowiańszczyzny pojmowano natomiast często opacznie, a mnogość węzłów, jakie łączyły nas z państwami słowiańskimi w przeszłości, aż zadziwiająco po prostu, domaga się jak najpełniejszego wydobycia na światło dzienne. I tu więc obrady Zjazdu przyniosą w pełni materiał konkretnie potrzebny.

Referaty sekcji roku 1848 scharakteryzują polski dorobek rewolucyjny w tym najważniejszym bodaj dla dziewiętnastowiecznej Europy okresie, kiedy to po raz pierwszy obok burżuazji wystąpiła klasa robotnicza, jako czynny motor rewolucji. Niezwykle ciekawo powinny być dane, dotyczące ówczesnych wypadków w Poznaniu i na Śląsku oraz charakterystyka stosunków, jakie łączyły Polaków z innymi Słowianami i zapatrywań twórców socjalizmu naukowego na sprawę polską. Referaty sekcji czwartej zaznajomią nas z problemem genezy współczesnego społeczeństwa polskiego, przy czym specjalny nacisk położony będzie na kwestię robotniczą i chłopską w Polsce w w. XIX i XX oraz na początki socjalizmu w Królestwie Polskim i w Galicji. Tematem obrad sekcji piątej wreszcie będą zagadnienia natury teoretycznej i metodologicznej. Wbrew utartemu mniemaniu, rozważania teoretyczne powinny być w tym wypadku bodajże najbardziej interesujące, nie tylko ze względu na sugestywność niektórych tematów, jak „Rola kultury historycznej w dobie przebudowy ustroju społecznego”, lub „Uwarunkowanie społeczne faktów historycznych i ich oceny”, lecz i dlatego, że nowe tematy zjawiają się w ogóle po raz pierwszy w historii wszystkich zjazdów, jak np. „Zagadnienie materializmu historycznego i potrzeba polskiego dziejopisarstwa”. Pozwalałoby to wysnuwać najlepsze prognozy na przyszłość, jeśli chodzi o polską naukę historyczną, która wydaje się zrywać wreszcie na pewnych odcinkach z koncepcją izolacji metodologicznej.

Tematyka Zjazdu dowodzi zatem wystarczająco zbieżności nauki historycznej z życiem i łączności ze społeczeństwem, z tym społeczeństwem, które stanęło teraz, wobec konieczności zrozumienia zagadnień „zachodnich i słowiańskich i musi czerpać swoje siły od tych, którzy w jego imieniu bronili przed stu laty postępu ludzkości. Potrzeba postępu, jednakże zmienia się, podobnie jak wszystkie elementy rzeczywistości. Nie wszystko, co było postępem w roku 1848, jest postępem dzisiaj.

Polska myśl historyczna, abstrahuując od jej szerokiego horyzontu i wspaniałości rozwoju, miała, niestety, często tendencję do fałszyzowania tych wstecznych właśnie sformułowań i nie zawsze dotrzymywała kroku dokonującej się dookoła niej ewolucji. Wolno przypuszczać, że Zjazd Wrocłowski stanowić będzie właśnie moment pod pewnym względem przełomowy.

I nie trzeba do tego zrewolucjonizowania wszystkich poglądów lub ograniczenia włości badań naukowych. Wystarczy, jeśli nauka dążyć będzie do prawdy jasną i prostą drogą, a wyzbedzie się wszelkiego irracjonalizmu i mistyki. Niestety, pomylił się ów minister, który przed osiemnastu laty podczas otwarcia Zjazdu Historyków w Warszawie zwrócił się do nich z apelem, ażeby wychowywać młode pokolenie, działali nie tylko na umysł, lecz i na serce, bo „tylko uczucie nie podlega dyskusji”. Historia ma niewiele wspólnego z sercem.



Z Wystawy Wrocławskiej



Leonard Sobierajski

## Z WYSTAWY WROCŁAWSKIEJ — O REPORTAŻU

(List otwarty do Eugeniusza Szyra, Wice-ministra Przemysłu i Handlu)

Obywatelu Ministrze!

**P**RAGNE dziś Panu przypomnieć Zjazd Pisarzy Chłopskich w Rytywanach w roku ubiegłym, pragnę przypomnieć atmosferę, w jakiej znaleźli się uczestnicy Zjazdu po wysłuchaniu Pańskiego referatu, do atmosfery entuzjazmu. Pokazał nam Pan istotny sens dokonującej się rewolucji gospodarczej w nowej Polsce, unaocznili kolosalny wysiłek, jaki już został dokonany przez ludzi nowego ustroju w dziedzinie naszej odbudowy gospodarczej. Wzruszeni byli nasi starzy pisarze ludowi — Piotr Stopczyk, stary chłop ale i robotnik, zahaczający w latach młodości o przemysł łódzki, Maciej Czula, chłop ale o-bijający się już jako dwudziestoletni chłopak po wielkich niemieckich zakładach pracy, był wzruszony również i Józef Kapuściński, entuzjasta wszystkiego co ludowe, co z chłopskiej i wsiowej dumy pochodzi, wzruszony był ten nasz stary ludowy liberal, a cóż mówić dopiero o nas — młodych chłopskich intelektualistach.

To, co od Pana usłyszeliśmy, Panie Ministrze, nakładało na nas, pisarzy, pewne zobowiązania. W końcowej partii swego referatu powiedział Pan: „Chce zwrócić uwagę na to, że aby wieść dobrze zrozumiałą... ewolucję gospodarczą, zachodzącą w Polsce, wy-pisarze chłopscy musicie o tym pisać. Skarżą się inżynierowie i robotnicy, że o ich pracy się nie pisze”. Powiedział Pan dalej: „trzeba umieć pewne problemy przedstawić tak chłopu na wsi, jak i robotnikowi w fabryce... czas już dojrzał... byśmy znali podstawy zagadnień polityczno-gospodarczych. Nie będzie w tym ani krzty przesady, jeżeli powiem, że jest to kwestia najważniejsza”. Postulował Pan dalej, by piarstwo nasze było proste i zrozumiałe. Powiedział Pan, że „narod pod tym względem liczy na pisarzy chłopskich”.

Stanał przed nami jasno problem. Zdawałoby się, że pisanie proste i zrozumiałe wymaga spełnienia podstawowego warunku: „byśmy znali podstawy zagadnień polityczno - gospodarczych”. Było dla nas rzecz oczywista, że zagadnienie to nie przedstawia się łatwo, właśnie dla młodych pisarzy narodu, który wytworzył historyczną warstwę inteligencji o antytechnicznym nastawieniu, warstwę inteligencji wyrosłej w tradycjach idealistycznej teorii kultury. Udowodniła nam to książka profesora Chafasińskiego: „Genealogia inteligencji polskiej”, udowodnił nam to referat Jana Aleksandra Króla: „Inteligentne getto chłopskie”.

\* \* \*

Po dwóch tygodniach od zakończenia Zjazdu grupa pisarzy zespołu „Wsi” znalazła się na szlaku: Bytom — Zabrze — Gliwice — Łabędy, Wrocław — Opole, Wałbrzych — Jelenia Góra. W grupie znaleźli się młodzi prozaicy, poeci, krytycy literacy. Jako cel wy-cieczki postawiliśmy sobie — przyrzec się procesowi odbudowy naszego przemysłu na Ziemiach Odzyskanych — oczywiście z konsekwencjami piarskimi. Spodziewaliśmy się, że owocem wycieczki będzie szereg reportaży, które by spełniły postulat, zawarty w Pańskim, Obywatelu Ministrze, referacie rytwiańskim. Z góry, apriorycznie ustaliliśmy pewną metodę pracy. Można by to ująć w kilku punktach: obejrzeć zakłady pracy, ustalić stopień ich odbudowy, przyrzec się procesowi produkcji, no i przede wszystkim dojrzeć człowieka, dojrzeć robotnika. Była to rzeczywistość dla nas pisarzy chłopskich nieznaną, i z autopsji, i źle znaną z doświadczeń literackich. Gdy znaleźliśmy się „w terenie” zaskoczyło nas jedno: huty, kopalnie, wielkie zakłady metalowe, fabryki włókiennicze — okazały się przedmiotem niesłychanie skomplikowanym mogliśmy doświadczyć tu na własnej skórze, co znaczy filozoficzny termin Leona Chwistka: „wielość rzeczywistości”. Staneliśmy wobec skłębionych problemów, domagających się jakiejś ostrej selekcji, jakiegoś precyzyjnego ustawienia. Od razu w pierwszej chwili zatarły się przed nami perspektywy. Postawieni wobec nowego zadania z lekkiem stwierdziliśmy, że sprawę można by rozegrać tylko w wypadku posiadania tej nowej rzeczywistości. A jak dotychczas nie mieliśmy żadnych jasnych dyrektyw jak patrzeć, jak selekcjonować materiał, jak organizować ten ogrom wrażeń, spadających na oglądającego.

Czuliśmy, że dostaliśmy się na teren upartej walki o plan gospodarczy. Przez Śląsk Górny i Dolny przebiegała już fala współzawodnictwa. Radość z odbudowy, radość z uruchomienia warsztatów pracy była już poza robotnikami i inżynierem. Oglądaliśmy kopalnię „Bytom”, która akurat świeciła dzień zdobycia szlaku pracy za przekroczenie norm wydobywa w miesiącu lipcu. Dowiadaliśmy się, że robotnik huty „Kościszko” na kłęczkach przysięgał, że załoga jego zakładu nie pozwoli wyrwać sobie z rąk zdobytego również szlaku pracy. Widzieliśmy jak huta „Julia” boryka się z kolosalnymi trudnościami odbudowy, braku robotnika fachowego. Przy stanie zatrudnienia około 5 tysięcy osób. Za dwa ostatnie lata był tu przebieg ludz. do trzydziestu pięciu tysięcy. Brak mieszkań. Dyrektor naczelny mówił mi: „Angażuje człowieka, gwarantując mu, że dam mu mieszkanie, z góry wiem, że obietnicy nie dotrzymam, ale zdobywam przynajmniej trzy miesiące pracy tego człowieka dla

swojej huty. Nieuczciwość, tak, ale cóż mam zrobić — potrzebuję robotników dla wykonania planu, a mam niedostateczne kredyty na odbudowę domów mieszkalnych. Nie mogę stanąć ze swoim zakładem do współzawodnictwa: jeden z wielkich pieców w odbudowie, koksownia — największa w Polsce wskutek rabunkowej gospodarki Niemców w czasie wojny, musi pracować teraz z największą ostrożnością, ciągle zatrudniamy produkcję dla remontów”. W kopalni „Bytom” oglądaliśmy nowoczesną płuczkę — ogromne wielopiętrowe urządzenie o skłębionym wyglądzie rur, przetaków, dziwnych instalacji, po prostu dla nas „abrakadabra”. Pilnuje tego młody, prosty robotnik. Ze swobodą i nonszalancją tłumaczy nam działanie tej apokaliptycznej aparatury. Panuje nad przedmiotem znakomicie, z dumą wspomina, że i on w to coś włożył, mianowicie wynalazł własny, z surowca dostępnego na miejscu, izolator, spajający jakieś dwa przewody w skomplikowanym systemie płuczek.

Tłoczą się na nas różne momenty. W Łabędach, gdzie zastaliśmy hute w odbudowie, gdzie jednak już produkcja idzie, w warsztatach stała imponująca konstrukcja mostowa, a

na potężnych lewarach rysował się ostra stała maszt linii wysokiego napięcia — mechanik, autochton z warsztatów reparacyjnych mówi mi: „Cieszymy się, że już produkcja ruszyła, ale redaktorze, koniecznie poprawy dla nas, ja kocham swój zawód, wystarczy mi, że o suchym chlebie stoję przy obrabiarkach, ale mam dzieci, chciałbym im dać mleka i tłuszczu”. Cóż mogłem odpowiedzieć, każde zdanie krzychałoby obrzydliwą, dziennikarską sztaf-pa. Oh, Ministrze! proszę mi wybaczyć melodramatyczny akcent, ale czułem wówczas „nóż w sercu”. To było rok temu. Huta „Łabędy” cały swój wysiłek skoncentrowała na pierwszym etapie odbudowy, nie miała jeszcze żłobka, nie miała przedszkola, a przecież oglądałem te wspaniałe urządzenia wszędzie indziej. Trudno jednak było mówić o tym z moim interlokutorem, on potrzebował już zaraz, natychmiast — kochał swoje dzieci.

W wrocławskim „Pafawagu” gawędziłem przy obrabiarkach z młodymi, zdolnymi majstrami. Czulo się, że są patriotami zakładu, że całkowicie są w jego sprawie zaangażowani. „Rozumiem — mówił jeden — naszą trudną sytuację ekonomiczną, rozumiem, dlaczego prywatny przedsiębiorca dałby mi większe

uposażenie, nie przejdę do niego, zostanę w Pafawagu, bo to jest właśnie mój Pafawag, byłem tu od momentu, gdy zakłady przedstawiały jedną wielką kupę gruzów, śmieci i pogiętych konstrukcji maszyn — nie rozumiem tylko jednego, dlaczego na uszyty garnitur muszę wydać całą swoją pensję, ja dobry, wykwalifikowany tokarz”.

Zwiedzałem domy kultury, prewentoria, żłobki, robotnicze domy czasów. Żłobki są pełne, początkowo stawiano opory, prewentoria są pełne — dzieci się w nich bardzo dobrze czują, malcy w żłobkach świetnie wyglądają, mają najstarszą fachową opiekę. Robotnice z huty „Julia” — autochtonki bez mężów, którzy poginęli na wojnie, z zadowoleniem rozmawiają już teraz o żłobkach. Domy kultury jednak świecą jeszcze pustkami, biblioteki i czytelnie czasopism są mało uczęszczane, co najwyżej zachodzą tu młodzi — uczniowie szkół przemysłowych, zachodzi młodzież zorganizowana.

Aktyw partyjny, tak — ale robotnicy w swojej masie nie doceniają jeszcze, nie potrafią wejść i użytkować w pełni tych zdobyczy socjalnych, jakie im daje nowy ustrój. Urlop spędzają jeszcze nieracjonalnie. Zanotowałem wiele wypadków, że robotnik swoje wczasy zużywał na jakiś remont własnego mieszkania, czy jechał gdzieś do rodziny, do innego miasta. Pensionaty w pięknych miejscach uzdrowiskowych to jest coś, co nie mieści się jeszcze w jego świadomości, jako miejsce do użytkowania.

\* \* \*

Kłębili się przed nami problemy: postrzeżenia procesów produkcji odchodziły na bok, coraz bardziej pasjonował nas człowiek, stawali się jednak utrzymać naszą linię, zadawaliśmy męczące już dla dyrekcji i robotników pytania: w jakim stopniu zniszczenia zastano zakład, o ile posunęła się odbudowa, jak wygląda produkcja, jaki stanowi udział w ogólnej produkcji danej gałęzi przemysłu, w jakich relacjach pozostaje z innymi zakładami. Odpowiadano nam uprzejmie, ale z lekkim, zmierzonym uśmiechem. Rozmowę ciągle przerywały telefony: „brak pasów transmisyjnych”, „obrabiaarka na ścianie X uszkodzona”, „brak budulca na przódku Y”, nagle gorączkowa, telefoniczna rozmowa — „awaria w maszynach na sortowni”. Dyrektor techniczny, z którym prowadziliśmy rozmowę podrywa się gwałtownie i wybiega z pokoju. Sami dążymy w jego ślady. Na sortowni zamieszanie. Zatrzymaliśmy się wózki, odbijane z windy wyciągowej na nadszypi, jest godzina 9 wieczór, okazuje się, że na terenie kopalni nie ma w tej chwili inżyniera od maszyn. Dyrektor techniczny, brygadziasta z czołówki przemysłowej, który przejmował kopalnię „Bytom” tuż po przesunięciu się linii frontu — dawny robotnik, zakasuje sam rękawy. Twarz ma ściętą, wie, że nie można za żadną cenę wstrzymać na czas dłuższy wydobywa, jego kopalnia przecież zdobyła „szlaku pracy”. Po godzinie koła wiozy wyciągowej zaczynają się obracać, wózki na nadszypie z trzaskiem kierują się do bebnów sortowni, przetaki rytmicznie potraszają, zsypuje się węgiel do wagonów, na których przyklejona jest karta: „France”.

Do późnej godziny siedzimy w prywatnym już mieszkaniu dyrektora Koćmy. Teraz już można swobodnie gawędzić, zdaleka dochodzi jednostajny, rytmiczny szum pracującej kopalni. Snuje się historia dziwna, historia prawie taka sama, w dziesiątkach hut, kopalń i wielkich zakładów metalowych i włókienniczych. Rok 45. „Nasza czołówka składająca się z 18 osób orczywała na kopalnię, zastała tu kilkudziesięciu górników - autochtonów. Gdy zjechalimy pod ziemię z chodników wiało pustką, z każdego kąta czyhał niepokój, kroczyliśmy pochylniami z naganami w rękę. Rozpoczęła się straszliwa praca. Brak ludzi, brak urządzeń, brak najorymitywniejszych warunków dla normalnej, ludzkiej egzystencji. Po kilkunastu dniach mieliśmy pierwszy „urobek”. Krzywa wydobywa z każdym miesiącem wzrastała”.

\* \* \*

Obywatelu Ministrze! Pan te sprawy zna najdogłębiej, nie potrzeba o nich nawet przypominać. Na trzecim Zjeździe Ziem Odzyskanych w Szczecinie powiedział Pan: „Dwa lata minęły od Pierwszego Zjazdu Przemysłowego Ziem Odzyskanych, dwa lata od okresu, w którym uruchomienie setek zakładów pracy, fabryk, kopalń i hut z ruin i zniszczeń wojennych przy braku bazy apro-wizacyjnej, przy braku normalnych warunków bezpieczeństwa, wśród chaosu administracyjnego — wydawało się zadaniem ponad siły najbardziej dotkniętego przez wojnę i okupację narodu”.

Jaka była sytuacja nas, młodych pisarzy, gdy staneliśmy wobec tego ogromu dokonanej i dokonanej pracy. Co wybierać do uchwytu piarskiego? Wciągał nas i osaczał tak bogaty splot zagadnień, że czuliśmy się po prostu bezradni w swojej funkcji obserwatorów. Wirowały przed nami sprawy — co ważniejsze byliśmy pod urokiem samych czynności produkcyjnych. Ale jak się dokonywała w nas ich percepcja?

Potężna huta „Julia” w Bobrku koło Bytomia czarowała nas nocą geizerami ognia, kłębami naświetlonej pary i dymu; nocą huta dyszała, zacierała się jej kontury, zdawała się wyrwać ku górze. Robotnicy na koksowni spuszczaający „ładunek” z pieców koksowniczych, wyglądali w czerwonym żarze

Zofia Nałkowska

## Ze „Zwierzeń”

(W związku z Wrocławskim Kongresem Intelektualistów)

Wojna ostatnia, tak w swej istocie i przebiegu odmienna od wojen dawnych, stanowi wciąż jeszcze materiał tematyczny dzisiejszej twórczości literackiej. Jest też czynnikiem, wyznaczającym jej uczuciowe napięcia i formalne środki wyrazu. Można by powiedzieć, że domaga się środków wciąż nowych — jakgdyby wszystkie dotychczasowe były wciąż nie wystarczające do oddania niezwykłości i wymiarów zjawiska.

Na to co się stało szukamy nazw. Ale dzikość i okrucieństwo, barbarzyństwo i zgroza — te nazwy są nie tylko oznaką niewybrednych środków wyrazu, są ponadto niedostateczne. Stanowią też nieścisłą diagnozę rzeczywistości.

Dzikość i barbarzyństwo nie były rzeczą nową w tej wojnie. Cechami, odróżniającymi ją od barbarzyństwa i dzikości wojen dawnych, zaskakującymi i wstrząsającymi przez swą nowość, były: naprzód jej oparta na ostatnich zdobyczach wiedzy czystej, technika bojowa i statystycznie planowana śmiertelność, powtóre — całkowita dla napastnika opłacalność, nawet rentowność imprezy, wreszcie staranna historiozoficzna i filozoficzna motywacja.

Akustyczność hasel, zrodzonych z bergsonowskiej intuicji i kultu podświadomości, zapewniła szeroki posłuch propagandzie, korzystającej umiejętnie ze zdobyczy psychologii doświadczalnej do szerzenia mistyki rasy i nadludzkich uprawnień indywidualności. Uroczyste palenie dzieł kultury, zarażonych intelektualizmem i humanitarnym nowatorstwem, miało zapewnić bezpieczeństwo władani tego systemu wierzeń na daleką przyszłość.

Nie wydaje się pożądane ani możliwe, by dzisiejsza twórczość literacka miała odrzucić wszystkie zdobycze piarskiej umiejętności czasów minionych, by wyrzeka się — w przededniu wypracowania form nowych — całego stanu posiadania w zakresie techniki warsztatowej swego zawodu.

Ale trudno też przystać na to, że arcydzieła powieściowe sprzed lat stu z górą mają nadal stanowić jedyny i obowiązujący wzór dla dzisiejszego pisarza.

Te wskazania krytyki nie są szczęśliwe ani pod względem pedagogicznym, ani praktycznym. Urzeczywistnione bowiem uwalniałyby pisarza od szukania słów własnych do wyrażenia własnego ujrzenia rzeczy i skłaniały go do tworzenia dzieł epigonicznych.

Zostają ponadto w sprzeczności z prawami, ustanawiającymi łączność między pisarzem i jego czasem. I to właśnie w epoce przemian, gdy przeobrażają się kształty życia, a człowiek z największym wysiłkiem, w trudzie nieustannym i wal-

ce, stwarza nowe warunki dla jego kształtów wciąż doskonalszych.

Przebieg zjawiska, w którego zasięgu trwała Europa przez te lata, dostarczył pisarzom materiału tematycznego, jedynego w dziejach. Nic dziwnego, że nawet wbrew pragnieniom wydawców, nie mogą się nadal ustrzec przed jego fascynacją. Żadna dotąd epoka nie zadała im takiej paszy.

Ale rzecz nie ogranicza się do tematu. Epopeja hitlerowska, wstrząsnęła głęboko poczuciem bezpieczeństwa w ramach dotychczasowego urządzenia świata. Zagłuszyła muzykę sfer i melodię szepców międzygwiazdnych, regulujących wskazania moralne ludzkości. To jest nie tylko temat, ale odkrycie.

Ta niezwykłych rozmiarów kompromitacja irracjonalizmu domaga się przywrócenia autorytetu myśli, a bezprzykładne bezprawie — rygorów moralności ludzkiej.

Wydaje się rzeczą zrozumiałą, że w czasach zagrożenia prawa człowieka zaw-sze intelektualści i pisarze łączyli się w proteście i akcji przeciwko wojnie.

Obeznanie się bliższe z całokształtem młodej, dzisiejszej twórczości nie odkrywa dążenia do realizmu, a ambicje oddania w jednym dziele c a l e j rzeczywistości są raczej wyjątkiem. I nie na tym zdaje się polegać nowoczesność i „postępowość” dzieła, jego wartość socjalna. Wiemy wszyscy, czemu zdarzało się służyć najbardziej wzorowym egzemplarzom powieściowego realizmu.

Dopiero zespół dzieł danej epoki jest — niezależnie od tego, czy tak chcemy, czy nie — tej epoki całkowitym, literackim odbiciem. A obraz powinien być tym bogatszy, im bardziej różnorodne w tematyce i barwie formalnej są poszczególne dzieła. Im bardziej wyłamamy z rzeczywistości temat leży w kompetencji pisarza, to znaczy — im bardziej jest autentyczny.

Pisarz podobny jest raczej nie do pianisty, grającego na gotowych klawiszach, tylko do skrzypka, który w czasie gry bezustannie wyznacza tony strunom, przyspasabiając swój instrument do natury muzyki. To temat określa formę, nie „mocne postanowienie” pisarza.

Młoda twórczość dzisiejsza daje nam bogatą relację zbiorową z przeżytego czasu. W nurtach ideologicznych, przenikających tę twórczość, można wyodrębnić dwa motywy równoległe. Jeden podejmuje zagadnienia moralne w ich planie socjalnym, jako odpowiedzialność człowieka wobec człowieka i zespołu ludzkiego. Drugi wyraża postawę poznawczą, intelektualną, stawia diagnozy. Oba wydają mi się ściśle związane z przeżywaną epoką i przez nią, że tak powiem, zdeterni-nowane.



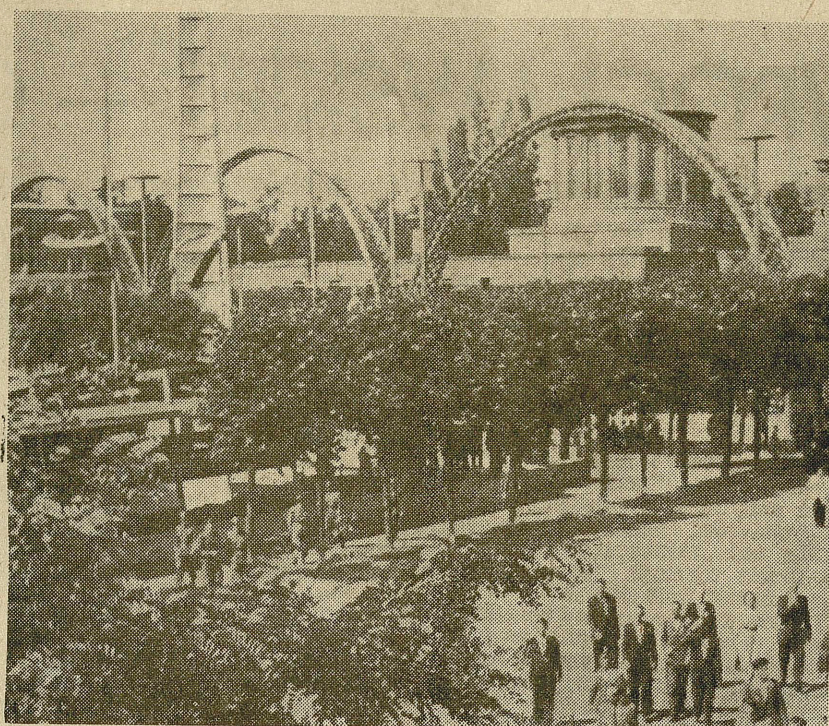
jak mityczni bohaterowie w kuźni Hefajsta. Przy martenowskich piecach twarze ich w czerwonym żarze wylwajającej się stali były czujne i surowe, ruchy odmierzane, ciała jakby sprężone.

Na podszybiu kopalni „Bytom”, gdy robotnicy stali tłumem przed windą wyciągową, widzieliśmy tylko masę ciemnych sylwet: kombinezony, hełmy górnicze i jednakowo unurzane pyłem węglowym twarze. Chodniki grały przed nami światłami wahadliwych latarek górniczych, czuliśmy pod ziemią kładącą wodę podskórna, dreszcz nas przechodził, gdy mówiono nam, że na tej a na tej pochylni jest za ścianą ogień. Na przodkach widzieliśmy tylko nagie, oczekujące potem torsy rębaczy i ładowaczy. Podziemie huczało nam w uszach wagonikami, naładowanymi węglem. Człowiek jako indywiduum tu nagle znikał. Działała na naszą wyobraźnię sama kopalnia, ale oglądaliśmy ją, wchłanialiśmy w tych kategoriach, jakie przekazywała nam nasza kultura literacka. Przylapaliśmy się na tym, że tak widzieć kopalnię można było i przed dwudziestu laty. Czym więc mamy podzielić się z naszym czytelnikiem? Jak konstruować nową wizję, z której wynikałby jakiś nowy, adekwatny dla ustroju sens pracy produkcyjnej.

\*\*\*

Ziemie Odzyskane wydały nam się wielką księgą epopei pracy, chodziło o to, aby umieć pokazać, w jakim systemie ta praca się dokonywała. Jakie tu należało perspektywy wykreślać? Na jakich przecięciach dnia „chwycić” robotnika? Jakie dać świadectwo jego pracy i jak pokazać mu równocześnie sytuację, w której się znajduje? Mieliliśmy do dyspozycji narzędzia bardzo wąskie. Szpalty gazet ciągle są przepełnione zdaniami o zdobyciach socjalnych klasy robotniczej, o jej gospodarzeniu państwem. Niewątpliwie słusznie. Faktem jednak jest, że robotnik w swojej masie jeszcze nie rozumie, jaką pozycję zajmuje dzięki nowemu ustrowi. Nie rozumie może tego jeszcze przy samym warsztacie produkcyjnym. Nie tu więc może szukać należy rozwiązań problemu. Może właśnie robotnik oglądany w domu partyjnym, w świetlicy zakładowej, na naradach produkcyjnych, da nam klucz do odcyfrowania jego właściwej funkcji. Sprawa chyba najpilniejszą dla pisarzy byłoby pokazywanie świata pracy właśnie na tych nowych przecięciach. Nie wystarczy wzbudzenie entuzjazmu do współzawodnictwa pracy, należy uprzytomnić robotnikowi, jakie znaczenie dla jego państwa mają owoce tego współzawodnictwa. Należy wzbudzać w nim entuzjazm dla pogłębiania swojej fachowej wiedzy. Dlatego słusznym wydaje mi się Pański pogląd, wypowiedziany w artykule: „Węzłowe zagadnienia naszej polityki gospodarczej”. Mówi Pan: — „Mamy zaufanie do zdolności i kwalifikacji polskiego robotnika i technika, ale stwierdzamy palącą konieczność zmiany form popierania ruchu wynalazczego i usprawnienia, przede wszystkim w dziedzinie wynagrodzenia nowatorów i wynalazców, w dziedzinie ochrony prawnej i opieki nad wynalazcą, oraz w dziedzinie popularyzacji techniki i nowatorów produkcji i wzbudzenia żywiołowego zainteresowania młodzieży dla postępu technicznego i zawodów technicznych”. („Nowe Drogi” Nr 9).

Jakże słusznie, Obywatelu Ministrze! Wynalazca izolatora w kopalni „Bytom” powiedział do mnie: „Dostałem 1.000 zł premii, ale zdałoby się więcej, tak bardzo pragnąłbym



Z Wystawy Ziem Odzyskanych

sobie kupić jakieś popularne książki techniczne, tak bardzo chciałem więcej czytać, na to trzeba mi pieniędzy”.

\*\*\*

Jedną z największych zdobyczy nowego ustroju jest szeroko rozbudowana sieć szkół przemysłowych i szkół przysposobienia przemysłowego. Tam właśnie kształcą się przyszli technicy. Z sita tych szkół otrzymamy ludzi prawdziwego entuzjazmu dla postępu technicznego. Mają oni szansę prawidłowego, bezpłatnego kształcenia się aż do piętra najwyższego. Żaden talent o technicznych dyspozycjach dziś w Polsce nie przepadnie. Kto się kształci w tych szkołach? Synowie drobno-rolnych chłopów z przeludnionego jeszcze rzeszowskiego, dzieci gospodarzy ze zniszczonych przyczółków: kieleckiego i warszawskiego, kształcą się tam synowie robotników, a nawet i dzieci ze środowiska drobniomieszczańskiego.

Oglądaliśmy szkołę zawodową, związaną z Zakładami Pafawagu. Około 1000 uczniów. Bursy. Świetnie zorganizowane warsztaty dla praktyki zawodowej na miejscu, a prócz tego praktyka w Państwowych Zakładach Wagonów. Możliwie najlepszy skład profesorski. Gdy już był pełny komplet uczniów, gdy miejsca w bursie wypełnione do ostatniego, przed dyrektorem szkoły w godzinach rannych jesiennego dnia stanął 14-letni chłopak z węzłkiem na plecach; twarz miał szarą, oczy zaczerwienione, lice ubranko mocno pogniecione i zakurzone. Przywlokł się dopiero co z dworca, gdzie spędził noc. Na zapytanie, czego sobie życzy, odpowiedział — przyszedłem zapisać się do szkoły. — Dyrektor rozłożył bezradnie ręce — nie ma już miejsc, człowieku. — Chłopak czupurnie się zjeżył, mówiąc — do domu już nie wrócę, musicie mnie przyjąć. — Ten małe przyjechał spod białostockiej wsi. Sierota. Na bilet złożyła mu się gromada wiejska. Chłopak dziś się uczy. Nie ma u nas miejsca na połączenie się sytuacji Prusowego Antka,

Wygląda to na efektowny chwyt propagandowy. Czy można dyrektorowi wierzyć na słowo? W czasie zwiedzania Wystawy Z. O. wpadłem któregoś dnia na dworzec, by szybko nadać korespondencję do redakcji. Na hali dworcowej zastałem gromadkę młodzieży. Zainteresowany podchodzę do nich i pytam: kim są i skąd? Uczniowie ze Szkoły Przysposobienia Przemysłowego Nr 7 w Elblągu. Szkoła liczy około 600 uczniów, 75 proc. ze wsi, przeważnie z rzeszowskiego. Jeden z uczniów — Szczupiel Jan opowiada mi o sobie — pochodzi ze wsi Budziwórz o 6 km od Rzeszowa. Z jego wioski jest 6 chłopów w szkole, synowie drobno-rolnych, od 2 do 3 ha. Rodzice Szczupielają mają 2,5-morgowe gospodarstwo, w domu siedmioro rodzinę. Chłopak mówi, że ciągnęło go coś w świat, chciał się czegoś nauczyć, coś poznać, chciał stać się człowiekiem.

\*\*\*

Powracam do grupy pisarzy chłopskich, która w roku ubiegłym wyjechała na Ziemie Odzyskane, by przywieźć stamtąd reportaże dla redakcji. Reportaże nie zostały napisane, a właściwie były pisane w jak najcięższym trudzie i do dziś spoczywają w biurku redakcyjnym. Nie znaleźliśmy właściwego języka, by wyrazić to wszystko, co oglądaliśmy na Ziemach Odzyskanych. I tu staje problem pisarstwa, które by potrafiło sprostać nowej rzeczywistości. Kazimierz Koźniński w pięknym artykule: „Ziemia pisarzy” mówi: „...tok codziennej pracy stał się już tak normalny, jak w całej reszcie Polski. Dyrektorzy nie wybiegali już gościom naprzeciw i od-wiedzający nie byli już mile widziani w ty-sięcznych zakładach przemysłowych: naru-szali oni porządek zajęć, deranżowali zupeł-nie niepotrzebnie pracowników, wnosząc ze sobą rozgwar hałaśliwego entuzjazmu i po-dziwu, który nikomu nie był już tutaj po-trzebnym. Wzruszenia przygodnych pochwał w pełni zastąpione zostały krzywą, narastającą z każdym dniem — statystyki wykonanych

przedmiotów, wykopanych ton węgla i me-tali... Gorączkowo skakały ku górze cyfry przemysłowej produkcji, one to stawały się najistotniejszym elementem w ocenie warto-ści i dorobku Ziem Odzyskanych... Praca re-portażysty stawała się coraz trudniejsza. Nie mógł on już ślizgać się po powierzchni zjawisk, gdyż wtedy swoim czytelnikom nie by-istotnego o sprawach Zaćnodu nie powie-dział. Śięgać musiał do rdzenia zjawisk ogłą-danych — a rdzeniem tym były cyfry. Cyfry, które w ciągu dwóch lat podskoczyły od zera do pozycji milionowych, odzwierciedlały naj-piętniej czas przeżywany. Dziennikarza zasta-pił statystyk. On tylko potrafił wystawić pomnik ludziom tutaj mieszkającym i tutaj pracującym” („Nowiny Literackie” Nr 30 (71)).

Czy tylko jednak tyle? Dziennikarz zrobił swoją robotę i robi ją nadal, winien przyjąć pisarz. Czy jednak pisarzowi wystarczyłoby wgrzyźć się w cyfry? Wydaje mi się, że pro-blem jest inny. Chodzi mianowicie o zmianę narzędzi pracy pisarskiej, narzędzi w jak najszerszym tego słowa znaczeniu. Jest nim zdobyte wiedzy, niewątpliwie, ale to jeszcze nie wszystko. Na osobowość pisarską składa się cała dotychczasowa kultura literacka, ja-ką nosimy w sobie. Trudno dokonuje się przebudowa wewnętrzna robotnika, nie mniej-trudno dokonuje się przebudowa wewnętrz-na pisarzy. W innych warunkach przychodzi nam dzisiaj tworzyć, a w innych zupełnie byliśmy kształtowani. Tacy, jacy dzisiaj je-stemy z naszymi kategoriami, myśleniem, czu-cia i widzenia zostaliśmy urobieni przez strukturę kulturową systemu liberalno-ka-pitalistycznego, systemu obcego dzisiejszym czasem. Proces rozumienia dziejącej się hi-storii zachodzi daleko szybciej niż nabycie u-miejności właściwego jej widzenia i odczu-wania. Stąd plynie nienadążanie literatury w stosunku do rzeczywistości, literatury, któ-ra chciałaby być wierna tej rzeczywistości, literatury, która zdołałaby dawać „całości” artystycznie umotywowane i wiernie kwitu-jące procesy dokonujących się przemian, przemian przede wszystkim człowieka.

Zdać sobie w pełni sprawę z tradycji, w jakich się wychowywaliśmy, to osiągnąć wa-runek dla nowego pisarstwa. Krytyka lite-racka mało dotychczas twórcom dopomogła w tej sprawie. Nie mamy żadnych prac kry-tycznych, które by oświeciły przy pomocy jakich chwytów artystycznych pisarz roz-grywał problemy gospodarce w literaturze, problemy pracy i jej aktora — proletariatu robotniczego. Przede wszystkim nie mamy ża-dnych naswnień, które by pokazywały, co determinowało taki a nie inny tryb widzenia rzeczywistości. Młode pokolenie międzywojen-ne rocznika 1910—1915 kształtowała określona literatura. Uczyliśmy się patrzeć na świat oczami Orzeszkowej, Prusa, Żeromskiego, Rey-monta, oczami Kadena-Bandrowskiego, Mor-cinka; rozszerzaliśmy później naszą wiedzian-o „Skamandrem” a dalej „awangardą”. To, co się działo na terenie literatury ra-dzieckiej, docierało tylko do bardzo ograni-czonego kręgu czytelników. Katajew czy O-strowski byli znani tylko konserwom. Obywa-telu Ministrze! Wydaje mi się, że tu można znaleźć odpowiedź, dlaczego pisarze chłopscy nie wywiązali się z podjętego zadania, tu można znaleźć odpowiedź, dlaczego reportaż współczesny nie jest zdolny stanąć twarzą w twarz wobec dokonującej się w nowej Polsce pracy. Niżej podpisany postara się w miarę swoich możliwości na to pytanie od-powiedzieć. (C. d. n.)

Leonard Sobierajski

Tadeusz Drewnowski

## Po Kongresie ZAMP

### NAJLEPSZE TRADYCJE

**P**oprócz Kongresu Zjednoczeniowy we Wrocławiu można dojrzyć wielki kawał historii. Perspektywy wglądu w historię, powoływanie się na nią, stwarzają atmosferę wielkości. Zda-waliśmy sobie sprawę, że Kongres jest dla postępowego ruchu studenckiego hi-storyczny.

Gdy padł wniosek o zjednoczenie czterech organizacji studenckich, ich przedstawiciele deklarowali stanowisko swoich organizacji. W każdej deklaracji były słowa: wnosimy do wspólnej organizacji nasze najlepsze tradycje. W żadnej deklaracji nie zabrakło histo-rycznej części, która pozwoliła zrekonstru-ować zarysy dziejów studenckiego postępo-wego ruchu.

„Nasza tradycja, historia naszej organiza-cji — mówi reprezentant ZMD, kol. Szatkow-ski — od Sekcji Młodych Stronnictwa Demo-kratycznego przed wojną, poprzez Ruch Mło-dej Demokracji podczas okupacji i powojen-ną działalność w ramach ZMD wskazują, że jednym z najważniejszych zadań było budo-wanie jedności postępowej młodzieży pol-skiej. Sekcja Młodych Str. Demokratyczne-go z młodzieżą ludową, socjalistyczną i ko-munistyczną walczyła z sanacją i Ozo-nem, walczyła z ONR-em i Endecją. We wspólnych akcjach przeciwstawialiśmy się terrorowi bo-jówek faszystowskich na wyższych uczel-niach. Wspólnie walczyliśmy z hańbą ghett-a ławkowego, wspólnie manifestowaliśmy nasze przekonania w pochodach pierwszomajo-wych”.

„Założony w 1922 roku ZNMS — mówi przedstawiciel tej organizacji, kol. Zawadzki — stał się w niedługim czasie kuźnią lewi-cowego socjalizmu, skupił tych, którzy od-groził się wyraźnie od wpływów reformiz-mu nurtujących w polskim ruchu socjalisty-cznym, a w szczególności w jego kierowni-

ctwie. Już w tym okresie członków naszego związku cechowała właściwa rewolucyjna postawa nieznosząca żadnych kompromi-sów. Świadczą o tym deklaracje ideowe tam-tego okresu, rezolucje corocznych zjazdów Związku, roczniki przedwojennych „Plomieni”, świadczą również wyniki nierównej wal-ki z wstecznymi elementami na wyższych uczelniach.

Członkowie ZNMS zaczęli już w pierw-szych miesiącach po klęsce wrześniowej brać udział w życiu konspiracyjnym i w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne... Byli oni uczestnikami walk prowadzonych przez Gwardię Ludową, walczyli w szeregach AL, PAL, AK i Odrodzonego Wojska Polskiego, współtworzyli Socjalistyczną Organizację Bo-jową, współpracowali w tajnych wydawni-ctwach, wydawali własny tajny organ. Pod-czas tej pracy i walki zginęli czolowi aktywi-ści — Stanisław Dubois, Leszek Raabe, Włod-zimierz Kaczanowski, Stanisław Hudoba i wielu innych”.

„AZWM „Życie” z dumą wnosi — oświad-cza kol. Altman — tradycje walki przedwo-jennego „Życia”, które świadomie wiązało swą walkę o wolność człowieka, o rozwój nauki, kultury i twórczej myśli ludzkiej z walką klasy robotniczej i mas ludowych o prawa polityczne i wyzwolenie społeczne. To właśnie z szeregów OMS „Życie” wyszli nie-ugięci bojownicy o prawa ludu polskiego — Janek Turlejski i Hanka Sawicka. W szere-gach konsekwentnego, wolnościowego ruchu robotniczego, prowadzącego naród polski do niepodległości trwali do śmierci na poste-runku godnym studenta polskiego „Życio-wcy”: Franek Zubrzycki, dowódca pierw-szego oddziału partyzanckiego Gwardii Lu-dowej, Hanka Sawicka, Janek Krasicki, Lu-cyna Herc, porucznik I Armii Wojska Pol-skiego, partyzant ziemi lubelskiej, Nowicki członek Sztabu Armii Ludowej powstańczej Warszawy.

Wierni swym tradycjom chcemy wnieść do Związku Młodzieży Polskiej swe najlepsze doświadczenie z pracy, ofiarności i dyscypli-nowanie „Życiowca”, nieugiętą postawę bo-jownika o ostateczne zwycięstwo idei wyzwolenia człowieka spod ucisku społecznego i niewiedzy”.

Wiciowiec, kol. Janczak, mówi, że „wspól-ny jest nasz marsz do dobrobytu i kultury. Ze spokojem spoglądamy na osiągnięcia 30-le-tniej pracy ruchu wiciowego. Uczyliśmy się na jego klęskach i na błędach, na bezgra-nicznym poświęceniu i oddaniu sprawie, na wytrwałości i pewności zwycięstwa. Nie uro-nimy nic z ich osiągnięć, co nie byłoby sprze-czne z interesem mas ludowych, uczynimy wszystko, by ugruntować to, o co oni walczyli — ustroj bez wyzysku. Z przeszłości spoglą-damy w przyszłość. Nie idziemy już sami. Interesy chłopów są dziś interesami robotni-ka, są interesami wszystkich ludzi pracy”.

Oto mamy przed sobą najogólniejszą mapę dróg młodych pokoleń, które wiodły do je-dnego celu. Kongres Zjednoczeniowy jest punktem, w którym się one spotykają. Wy-tworzyły się obiektywne warunki państwa ludowego, które pozwoliły zrównać i zjedno-czyć młode szeregi.

W gąszczach tradycji zdumiewały konse-kwentne i omal równoczesne etapy rozwoju ruchu — pod rozmach historii.

### ETAPY JEDNOCZENIA

Na Kongresie w większości spotkali się działacze zjednoczeniowi. W myśl uchwały Kongresu oni — w pierwszym rzędzie — po-winni wejść do władz Związku Ak. Młodzie-ży Polskiej.

Ale tradycje jednościowe w ruchu stu-denckim są znacznie dawniejszej daty. W o-kresie dwudziestolecia młodzież demokra-

czna walczyła wspólnie przeciw wybujałemu nacjonalizmowi i rasizmowi. Już w tym okre-sie pomimo formalnych odrębności podzieliła się jednostą działania. Stężyła ona w trakcie oku-pacji, gdy walka o narodowe i społeczne wy-zwolenie przysłaniała całe nasze życie.

Od pierwszych chwil po wojnie zaczęła się ściśła współpraca między organizacjami mło-dzieżowymi. Idee współpracy realizowano na codzien. Wkrótce Akademicki Związek Wal-ki Młodych „Życie” i Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej zawarły umowę o jedności działania. Dalszy etap na drodze jedności — to Akademicka Komisja Jedności Działania Organizacji Demokratycznych. Ca-ły ciąg logicznych następstw. Cała droga il-kuwidowania jakichkolwiek przeciwności we wspólnej praktyce. Już wówczas w środowi-skach akademickich rozgorzały dyskusje nad zjednoczeniem organizacji.

Wreszcie w dniu 21 kwietnia br. w wyni-ku wspólnych obrad władz naczelnych czte-rech organizacji powołano Centralny Komitet Jedności i polecono mu „przygotować Kon-gres Zjednoczeniowy Komitetu Jedności na wszystkich szczeblach organizacyjnych”.

Były to etapy zespalania coraz ściślej-szego organizacji młodzieżowych. Obecne zje-dnoczenie nie jest mechanicznym zsumowa-niem kartotek członkowskich. Tworzymy je-dność twórczą, w której nowy układ ludzi i programów wyzwala nowe rewolucyjne siły młodzieży.

### NOWY WZÓR

Przewodniczący ZAMP Zenon Wróblewski wyliczył i omówił szeroko kilka głównych zadań, jakie stoją przed nową organizacją. Wokół nich krążyła wielogodzinna dyskusja. Szczególnie wiele uwagi poświęcono etyce członka naszej organizacji.

Zarzucają nam, że nie mamy własnej mo-



rałości. Jeśli za jedyną moralność uważać dziesięć przykazań, to racja, że my takiej moralności nie posiadamy — mówić w dyskusji kol. Turski z Wrocławia. — Nasza moralność — jest moralnością budowniczych sprawiedliwego ładu, a nie ludzi, którzy kultury wewnątrzne piękno duchowości. Nam jest najbardziej wroga wyrażona kultura blichtru, przerażenia wobec rzeczywistości, kosmicznego strachu — te wszystkie ostatnie mody francuskiego i amerykańskiego rynku. I ci, którzy się boją, którzy temu strachowi dają wyraz w dekadentycznej sztuce, sartrowskiej literaturze — mają rację. Bawim poza ruchem odrodzeniowo-społecznym nie ma zbawienia dla upadających klas starego świata.

Jaśniepańska wyższość moralna cechowała studenta wychowanego na przerafinowanej kulturze epoki kapitalizmu — formułuje kol. Zenon Wróblewski. — Temu dawnemu typowi studenta przeciwstawiamy wypracowany w walce nowy wzór budowniczego kraju, nowego inteligenta, którego cechować będzie ludowy patriotyzm, optymizm społeczny, umiowanie wiedzy i aktywne postawa wobec otaczającego świata, poszanowanie dla człowieka pracy i samej pracy, która stwarza bogactwa i jest miernikiem wartości jednostki. W niej odzwierciedla się nurt wewnętrzny i wytrwałość. Wydaje nam się, że tylko taka postawa może zapewnić prawdziwą radość życia płynącą z rzeczywistego w nim uczestnictwa. Czyn podjęty dla ogółu, z całą świadomością jego prawdziwej społecznej treści, to najważniejsze przykazanie nowej społecznej moralności.

## MLODZIEŻ — ŻRENICĄ OKA NOWEJ POLSKI

Minister Skrzyszewski witając Kongres Zjednoczeniowy Organizacji Studenckich przedstawił walkę, jaką demokracja ludowej przyszłości toczy o młodzież.

„Po młodzież, po serce i mózg młodzieży, a zwłaszcza młodzieży akademickiej wyciągnęły się i wyciągały łapczywie ręce wrogów nowej Polski. Czyniło to podziemie. Czyniło to mikołajczykowski PSL. Obecnie nie rezygnują z tego inne wrogi — nam czynniki, maskując się często pozornie najbardziej niewinnymi lub światłobliwymi hasłami. Walka klasowa w Polsce trwa. Nie słabnie jej nasilenie, nie zmniejsza się jej ostrość. Wrogi klasowy nie poddaje się bez walki. Bramy wyższych uczelni nie są dla niego przeszkodą. W tej walce sprawa światopoglądu, znajomości celu, umiejętności rozpoznania wroga klasowego, stosowania właściwych środków działania, jest szczególnie ważna. Młodzież musi widzieć toczącą się w Polsce walkę, musi pojmować jej sens i oceniać uczestniczące w niej siły z punktu widzenia interesów nowej Polski, interesów całego narodu. Musi się uzbroić w ideologiczny oręż światopoglądu dla skutecznego udziału w wielkiej bitwie o socjalistyczne jutro Polski”.

Batalie o młodzież nie ustają. Na wrocławskich kongresach młodzieżowych Polska Ludowa odniosła ogromne zwycięstwo w bitwie o młodzież. Na wrocławskich kongresach młodzieżowych rozstrzygnęły się losy całego młodego pokolenia, którego akademicki zastęp świadomie kontynuuje tradycję stowarzyszeń związanych z klasowym ruchem robotniczym, chłopską lewicą, inteligentkim radykalizmem.

## NAPRZÓD MLODZIEŻY ŚWIATA

Naokoło auli politechniki pęk kolorowych sztandarów narodów, których młodzież przynależy do Międzynarodowego Związku Studentów. Na balustradzie chóru zapewnienie o międzynarodowej solidarności studentów: Budujemy pokój i lepsze jutro w szeregu MZS. Nie jesteśmy sami. O tym zapewniali nas delegaci zagranicznych demokratycznych organizacji młodzieżowych. Gdy na trybunę wchodzi przedstawiciel zagranicznej młodzieży jak żywił szaleje entuzjazm. Kolega Grohman, przewodniczący MZS jest bardzo swobodny. Wskazuje na trybunę, nie może mówić, zanim nie skończą się żarliwe oklaski. Anglik Watkins z Angielskiej Federacji Pracy, której kilkakrotnie prosił, aby nie mieszać z rządzącą Partią Pracy, chodź w rozpiętej marynarce, niedbale związanym krawacie, z fają. Stale pochyla się do tłumacza.

W przemówieniu podkreśla, jak załgana jest w jego kraju wiedza o Polsce. Oni wszystko robią, aby Anglicy znali prawdę o Polsce. Mówi o specyficznej sytuacji społecznej na wyspiarskiej Anglii, która komplikuje obraz zmagających się klas. Wreszcie przy wielkich oklaskach — mówi, że nie ma granicy między Wschodem a Zachodem, a właściwie granice dzisiaj można dostrzec między tymi, w których interesie leży nowa wojna, i obrońcami pokoju. Dziś sprawa pokoju i wojny stała się wskaźnikiem dla bliźszych rozróżnień.

Przedstawiciel węgierskiej młodzieży, redaktor młodzieżowego pisma, smagły chłopak w drelchowych ubraniach, referuje dorobek ich postępowych organizacji. Zdumiewa, jak podobna była ich i nasza walka o demokratyzację wyższych uczelni, o zjednoczenie młodzieży pod postępowymi sztandarami. I Bułgarka stwierdza, że tylko dzięki zgodnemu działaniu bułgarskiej młodzieży możliwe były rezultaty, które osiągnęli. Życzy nam prawdziwej jedynomyślności i współdziałania.

Wielekroć w trakcie zjazdu intonowano hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej — „Naprzód młodzieży świata”. Później jego melodia nie schodziła z ust. Przypominaliśmy sobie różnojęzyczne refreny wspólnej pieśni. W czasie dwóch dni pozostawiały się stałe kontakty umiśnionych i przyjacielskich słów, poza którymi chowała się przez każdego odczuwana i rozumiana walka o solidarność postępowej młodzieży świata.

Tadeusz Drewnowski

Anna Kamieńska

# „INTELGENT CHŁOPISKI” — BEZ DOGMATU!

## 1. BEZ DOGMATU

1. Ordynarny niemiecki sługus, folksdojcz i prostak — rozmawia w nocy z gospodarzem domu, w którym zamieszkał ze swym panem. Opowiada swoje perypetie życiowe:

„Podległ prawu pospolitej przemiany wewnętrznej, opartej na emocjonalnym poruszeniu. Oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie umiał analizować uczucia nostalgii — widział tylko siebie samego jak gdyby dwa razy i widział własny kraj w dwu wariantach. Przeważała szale obawa przed kompromitacją ojczystego państwa”. („Dwie krople krwi”).

2. Franek Kowalczyk — kapral, zamiłowany strzelec zżyma się na przegraną wojenną po wrześniu 1939 roku:

„Zburzyły się w nim jakieś ostateczne wiązania. Pękły jakieś obce, spinające świat przeżyć i doznań. Wychodził sam z siebie”. („Grzymali”).

Istnieje w naszej współczesnej twórczości i krytyce literackiej kompleks inteligenta. Niezależnie od stopnia historycznego uzasadnienia, wynika on niewątpliwie z pewnej jednostronnej, literackiej konwencji inteligentności, na którą złożyły się i własne, polskie „niedorozwoje” i zagraniczne, ściślej — zachodnie — snobizmy. Trudno, u podstaw prozy Brandysa rozstrzygać, jak stwierdzili krytycy, kompleks inteligentki, prozy Dygata a nawet Herta widzimy tyleż Prousta co rodzono Sienkiewicza z jego „Bez dogmatu”. Nie wypada się wypierać rodziny.

Oczywiście, nie obchodzi nas w tej chwili pochodzeniowa, rodowa chłopskość autora „Wyżynki”. Opowiadania Teodora Goździkiewicza są chłopskie ze względu na środowiskowe zainteresowania autora. To chłopskie (w powyższym sensie) piarstwo nurtuje coraz wyraźniej choroba „bez dogmatu”. Wydaje się, że ma ona ogólniejsze, kulturowe znaczenie, że jej objawy, które próbujemy prześledzić na przykładzie Goździkiewicza, były już odkrywane i w ruchu młodzieży wiejskiej i w Uniwersytetach Ludowych i w robocie oświatowej na wsi.

## 2. INTELEKTUALIZM POZORNY

O czym świadczą przykłady, przytoczone na wstępie?

Teodor Goździkiewicz dokonuje na wielu swoich postaciach literackich przysięg operacji. W krępiek miśnie swoich „chamów” wstrzykuje bakcyla dekadencji, katastrofizm, „psychologię”, zarzą inteligentem.

Poruszenia bohaterów gęsto interpretuje Goździkiewicz nieadekwatnym, niewspółmiernym z wizerunkiem osoby komentarem „od siebie”. Gdy zaś występuje jako narrator w pierwszej osobie — przedstawia siebie właśnie jako inteligenta, nie rzadko z przymiotnikiem „chłopski”. „A w swojej wsi, ja tylko jestem taki jeden”. („Dwie krople krwi”).

Goździkiewicz — przeprowadzający anegdotę, rysujący przeważnie żywe, poruszające się zresztą postaci — to nie ten sam Goździkiewicz, który analizuje, rezonuje, objaśnia. Wierzymy Goździkiewiczowi opowiadającemu, nie ufamy „filozofującemu”. Czy słusznie?

Każdy pisarz zaimuje wobec materiału swojej narracji określoną postawę, nawet jeśli pozornie nie interweniuje w akcję opowiadanej. Ta poza pisarska jest dość ważna, ze względu na ideologię i „rodzinę” literacką. Nasz pisarz w omawianych opowiadaniach przybiera przeważnie pozę — intelektualistę i manifestuje ją nie tyle przez swój język, jego składnię i rytm, nie przez rysunek postaci, lecz po prostu przez rezonowanie od autorskie. Goździkiewicz — nieszczęściem dla swego niewątpliwie lekkiego i pracowitego pióra obarcza się niemal obowiązkiem wewnętrznego rozdarcia i sceptycyzmu. Wprawdzie opowiada nam prof. Chałasiński w swojej książce „Społeczeństwo i wychowanie”, że intelektualści amerykańscy oskarżali naukowców swojego kraju o prostactwo umysłowe, właśnie wskutek braku koniecznej dla człowieka kultury sceptycyzmu. Ale czymś narzuconym i żalosnym wydaje się przekonanie, że nawet odrobina tzw. kultury — powinna uwierać. A to przekonanie żywi narrator w każdej prawie noweli Goździkiewicza. Jasne jest, że poza narratorem należy traktować jako element fikcji literackiej, toteż zarzuty wytoczone tu Goździkiewiczowi są w pierwszej instancji artystyczne dopiero potem ideologiczne.

„Typy idealistów, piękno duchów, intelektualistów (jak ja) — czytamy w noweli „Rumieniec historii” — „dzięki warunkom bytowania, stworzonym przez te wojny, typy chodzące samymi szczytami ludzkiej myśli, musiały się przeistoczyć w jaskiniowców — żeby przetrwać, obniżyć swój lot — żeby przeżyć. Typy zaś prymitywne wiodące żywot prosty, awansowały niepomiernie wysoko. Urosły do poziomu obrońców ojczyzny”. Autor zdaje się podzielać tę opinię.

Model inteligenta — intelektualisty, jaki Goździkiewicz przedstawia „typem prymitywnym”, jest zaczerpnięty z wzoru dekadenta, z wzoru „zgniełego inteligenta”. Wojna dała temu inteligentowi okazję do konfrontacji jego postawy z rzeczywistością, przyczyniła mu nawet nieco kłopotów moralnych, ale dostarczyła też materiału do banalnych refleksji i aforyzmów historycznych.

\*) Teodor Goździkiewicz. „Znaki czasu”. „Książka”. Warszawa, 1948.

Narratorzy Goździkiewicza żyją okrucami literatury, reminiscencjami z dziedziny sztuki i nauki, zdaje się, że są snobami. Książka z domu jest oczywiście symbolem kultury. Nieco żartobliwie traktowany bohater noweli „Kradzież” — przeżywa perypetie moralne właśnie jako inteligent: „Nie, nie wypada... ja, inteligent wychowany na Ibsenie i Żeromskim, mam postąpić jak człowiek prosty, który potrafi mówić różnierz i paść krowę w konicy nie sąsiada, rad, że spełnia za jednym zamachem dwa dobre uczynki...” I tu znowu znajdujemy charakterystyczne rozróżnienie: **inteligent — prostak**. Tym wyraźnym inteligentem jest tu poza, maska, że postacie działające mimo swoich katastroficznych refleksji na temat wojny są pełne krzepy, zarysowane przez autora energicznie, niemal marionetkowo, co nadaje im trwałość, reprezentatywność małych mitów. Taki jest i Jaś „Na pastwisku” i Franek „Grzymali” i Andrzej Walczak ze swoim pięknym i zdrowym ciałem.

Robotnicy z TUR-u, autorzy życiorysów z książki „Robotnicy piszą” wyrażają często szczególne zainteresowanie dla nauk przyrodniczych, astronomii i fizyki. Te same nauki w literackiej, shumanizowanej formie były pożywką przedwojennych Uniwersytetów Ludowych, służyły do wzbudzania czi i zachwytu dla wiedzy ludzkiej, nastrojały na wyższy ton młodzież wyszłą ze środowiska, którego treść życia była przyziemna, niemal czysto ekonomiczna i biologiczna. Oszałamiające perspektywy otwierające się w wykładach na temat wszechświata, czasu, początku życia i t.p. w istocie apelowały nie do intelektu, lecz do jakichś uczuć **typu religijnego**. Na gruncie takiej wiedzy i dyletanckich emocji łatwo powstają sady o świecie i historii, syntezy i prawdy ubierane w formę niesprawdzalnych aforyzmów. Aforyzmy tego typu są częste w prozie Goździkiewicza. W noweli „Skrzyżowanie” dał im autor właśnie tego typu „naukowe” marzenie za podłoże. Ukrywającą się dziewczynę — konspiratorkę nawiedza wizja astronomiczna Ziemi i Marsa. „Są w ruchu — odwiecznym toczą się trybem po torach wyznaczonych przez czas, magnetyzm i siłę inercji” itd. itd. „Jest to jakby gigantyczna zabawa szczegółów makrokosmosu, w którym pyłek zwany człowiekiem nie ma żadnego znaczenia”.

Ten rodzaj „intelektualizmu” trudno już oprzeć przymiotnikiem inteligentki, raczej właśnie ze względu na jego obecność w robocie oświatowej — przyda się słowo: ludowy, tak, jakby można socjologicznie interpretować „intelektualizm”.

## 3. OBOWIĄZKOWY PSYCHOLOGIZM

Goździkiewicz nawet swoim zgrabnym marionetkowym postaciom każe przeżywać na sposób analizującego bohatera „Bez dogmatu”, jak to widać z obu wstępnych przykładów. Tzw. głębokie przeżywanie, wewnętrzne grymasy — składają się na wzór psychologiczny nałożony tu porównowo na wszystkich — i „inteligentów” i „prostaków”. Autor wie o swoich postaciach jakby zbyt wiele, więcej niż one same, więcej niż to jest możliwe. Nawet świętny Jaś z pierwszej noweli został obciążony nadmierną świadomością. Trafny impuls artystyczny skłania Goździkiewicza do pokazywania fizycznej grozy wojny wobec małego, naiwnego pastuszka. Zanim i on zginie, musi przeżyć jeszcze śmieszna rozpacz po stracie powierzonych mu krów. Zapewne matka biła za zwykłe niedopilewanie, a tu: „Jasio przeżywa szybkie, zmienne uczucia: strachu, gniewu, żalu. Bielicha nie żyje. Zdaje mu się, jakby i on w tym współdziałał — pod jego okiem zabito krowę. Poczucie winy nieopowinionej miesza mu się z poczuciem kary, żal krowy ze strachem o samego siebie”. „Szybkie, zmienne uczucia”, „wina nieopowinionej” — to zbyt wiele komplikacji dla chłopca, który parę stron przed tym zabawiał się w ten sposób z osami: „Jasio tracił jak kijem — żywa. Zatrętała niemrawo skrzydłami, przewróciła się na bok, wygięła w łuk i zafalowała prątkowanymi odwiotkami: nartroz i w tył — naprzód i w tył. Tam ma żądło — pomysł! Jasio z ukrywana obawa i przycisnął kijem oś do ziemi. Soodzielił dwi żółtawych łapek błyszczącą ostrą, czarną, błyszczącą igielką.

— Ech, żądło — wyspeni! z pasją Jasio i przycisnął kij do ziemi jeszcze mocniej. Korpus oś pękł, wyszła z niego wilgotna biała masa i przylepiła się do kija”.

Taki behaviourystyczny tok opowiadania przeważa także w tytułowej noweli „Znaki czasu”. Podobne partie opisowe wydobywają dobrą, trafną obserwację, niepotrzebnie zanieczyszczoną jakimś obowiązkowym psychologizmem.

To z takiej nałożonej z góry wiedzy o człowieku powstają podobne aforyzmy jak: „Dusza ludzka jest jasna jak szkło i ciemna jak noc listopadowa” („Prawda o Andrzeju Walczaku”). Moim zdaniem a konfrontowałem je z opiniami innych czytelników — podobna prawda dyskwalifikuje intelektualizm autora, pozwala nazwać go jeśli nie prymitywnym, to pozornym.

## 4. INTELGENT CHŁOPISKI

Nie w jednej, lecz w paru swoich nowelach w tym zbiorze Goździkiewicz umieszcza narratora w kłopotliwej społecznej sytuacji — inteligenta chłopskiego, inteligenta na wsi. Nauczyciel, czy nawet rolnik, żona „z prostą”, wewnątrz domowe — jak je widzimy — dostatecznie drobno mieszczańskie, ale w domu są książki, jest samowiedza społeczna „chłopskiego inteligenta”.

W noweli „Dwie krople krwi” tak ją określa (narrator oczywiście, nie Goździkiewicz): „Wiesz przez takie zjawiska jak rzemiosło, jak danie nauki średniej i wyższej pewnemu procentowi młodzieży, który już do wsi nie wraca — ruguje się stale z najlepszego elementu ludzkiego. Jest to czysta strata wsi. Uważam, że pewien procent tych ludzi z wykształceniem powinien do wsi wrócić.

I wrócił ja.

Miał ślepieć za kontuarem w spodniach z wypchniętymi nogawkami i oczekiwać na pensyjkę co pierwszego — będę orał, siął i bronował, ale wezmę się do tego racjonalnie: z książką i ołówkiem w ręku...”

Otóż ta społeczna kategoria „chłopskiego inteligenta” ponosi winę za całe niepotrzebne rozdarcie ideologiczne i artystyczne prozy Goździkiewicza, posiadającej wiele walorów porządnego, dydaktycznego rodzaju opowiadawczego. Kategoria znowu — pozorona, wynika z kulturalnego kryzysu wsi. Wyrażona w powyższym cytacie ideologia powrotu na wieś nie jest przecież w konsekwencji niczym innym jak zamaskowaną ideologią odrębności wsi, kręgu nawet **ludnościowo** zamkniętego. Robotnik, inżynier, lekarz, wychodzący ze wsi — zubożają ją tylko. Ani z hut, ani z gabinetu inteligenta w mieście — nie dobiega się wsi. Najlepszy element powinien tu zostawać i zająć się zadaniami, które stoją przed społeczeństwem wiejskim, wylicza: spółdzielnia, samorząd, szkoły, kursy... Możemy dodać: itd., itd. **Inteligent**, który wraca na wieś, siebie i **bronuje**, a w przerwach poświęca się pracy społecznej — w spółdzielni, samorządzie, szkole, kursach — to przedłużanie bezradności społecznej wsi, filantropii i dyletantyzmu. Być może, że Goździkiewicz tak nie myśli, jednak to z postawy jego bohatera wynika, a bohater ten jest ujęty pozytywnie. Tak więc pozorny intelektualizm wtrętów refleksyjnych odpowiada też fałszywej, niedomyślonej, a zbyt pochopnie użytej jako materia narracyjna — ideologii społecznej.

Inteligent chłopski, który siebie i bronuje, przyniósł ze sobą na wieś chorobę „bez dogmatu”. Skąd? Czy od ruchu robotniczego? Czy od środowiska pracujących, fachowców? Z gimnazjum? Kłeska wojenna usprawiedliwia tylko w jego oczach chorobę, od której inteligenta — zdawałoby się — nie chroni nawet przymiotnik: chłopski.

„Człowiek żyje samookłamywaniem się, cokolwiek goni, goni złudę. Ta wojna jest klasycznym przykładem potwierdzającym. Wartości są bezwartościowe, ważności — nieważne. Świętości — brudem. Wzniosłości — blichtrzem. Zasady — abecadłem dla analfabetów. Kto, gdzie i kiedy kierował się świętością, prawdą czy dobrem?” („Dwie krople krwi”).

Można by powiedzieć, że nawet wątplenie i rozpacz bez określonego podłoża rzeczowego, bez konieczności — natury społecznej — są prymitywne. A tym razem tak jest. W opowiadaniach „Wyżynki” Goździkiewicz był lepszym społecznikiem. Interesowało go w środowisku chłopskim wewnętrzne zróżnicowanie, stosunki międzyklasowe na wsi — w historycznej już przysięgwie sprawy dworu i wsi. Polityczno-patriotyczne sprawy, które zaakcentowała wojna, zatarty ten społeczny rysunek piarstwa Goździkiewicza. Stworzenie typu inteligenta na wsi zdawało się być środkiem do wyrażenia poza wsi, do widzenia szerszego, historycznego. Wydaje się, że ta sprawa zawiodła, że więcej prawdy o życiu, o rzeczywistości — politycznej nawet — zawiera opowiadanie o małym Jasiu zabitym na pastwisku, niż te, w których jak np. w noweli „Uciec” mamy sam materiał rezonerski, refleksyjny, „inteligentki”.

## 5. GATUNEK LITERACKI

Oczywiście, zarzuty winny być w pierwszej instancji artystyczne. Niekonsekwencje ideologiczne wyrażają się przez pomieszanie systemów poetyckich. Istotnie, nawet w dobrym, starannym opowiadaniu o Jasiu, opartym na przekonującej obserwacji rzeczywistości ściśle zewnętrznej, znalazłbyśmy wstawki z innego systemu, rażące tu wstawki psychologizmu, introspekcji, wypreżdzanie opisu przez założoną wiedzę autora o fakty.

Również sentencjonalizm, którym ta proza jest w dość dużym stopniu nasycona — jest wtrętem z innego gatunku pisarskiego. W tym tu został tylko dla ornamentu przywołany. Goździkiewicz jest pisarzem ambitnym, poszukującym — to też w każdym niemal opowiadaniu zmienia konstrukcję, nadaje narratorowi inny ton — aż do żartu i ironii. Próbuje wielu figur możliwych w rodzaju opowiadania. Znajdziemy tu i ramy opisu i opowiadanie włożone w ramy obojętnego dialogu i pamiętnik, i list, i ciąg opowiadań bohaterów o ich przeżyciach. Wydaje się, że ta formalna różnorodność jest ambicją pisarza. To też stała się powodem wrażeń, że autor ciągle próbuje pióra, że bada swoje możliwości, ćwiczy się w literackich pastiszach.

Wydaje mi się jednak, że styl literacki nie jest kwestią swobodnego wyboru — wówczas to właśnie powstawałyby podobna zmieszana, nieczysta literacka proza. Wraz z językiem — wybiera się ideologie. W tym wypadku niekonsekwencje wewnętrzne i w robocie i w znaczeniu, nieokreśloność pozeji społecznej autora pozwalają określić ideologicznie „Znaki czasu” tak nieściśle i pozornym terminem jak ideologia „chłopskiego inteligenta”.



# MŁODZI POECI ŚLĄSCY

**N**a początku był Uniwersytet — tak żartował kiedyś Agata Kaizerek pisząc o wrocławskim życiu literackim, które wyrosło w okolicach tutejszego studium polonistyki. Agata Kaizerek miała na myśli Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego, niemniej powiedzenie to świetnie określa początki wrocławskiego zespołu młodych pisarzy. Grupa studentów-poetów zakładała w 1946 r. podwórkowe literackie. Rok następny pomnożył znacznie ilość ambitnych piór (czy raczej piórek), tak że na podwórku zrobiło się wcale tłoczno. Wtedy w sprawie wdał się starsi. Koło Miłośników Literatury, organizator tzw. „Czwartków literackich”, oddało jedno czy dwa ze swych posiedzeń młodym. Występ ten posłużył za egzamin. Pegazikowi wrocławskiemu uboło ciężaru, niewielu bowiem przetrzymało próbę pierwszej publikacji.

O tych, którzy „zdali” czas zacząć mówić poważnie. Byli to poeci: Jan Pierzchała i Elżbieta Miłanczówna. Potem dołączyli do nich inni, omijając już czwartkowe „egzamin-y”. W ten sposób powstała grupa w dzisiejszym składzie.

O zespole tym jako o „grupie literackiej” można mówić jedynie w sensie topograficznym. Poza miejscem zamieszkania żadna bowiem wspólna poetyka ich nie łączy. Spójrzmy zresztą z bliska:

Pierzchała początkowo śpiewał regularną strofą o „śląskich stronach” (Jan Pierzchała, Wiersze. Arkusz Śląski, nr 10). Dziś patrzy szerzej i pisze swobodniej. Nadaża za politycznym biegiem wydarzeń. Bez patosu, za pomocą prozaicznej leksyki przemienia społeczne treści na poetyczny kształt. Miłanczówna reprezentuje odmienny typ. Rzeczywistość obserwowana i opisywana ma swój byt tylko w niej i przez nią, podporządkowana jest jej mocno rozwiniętemu egotyzmowi. Trzeci z kolei i najmłodszy poeta wrocławski Tadeusz Urgacz (jedyne nie-polonista w tym środowisku) jest osobowością chyba najtrudniejszą do określenia. Bujny, niespokojny temperament każe mu stale zmieniać poetykę, przechodzić od awangardowej hiperboli do stylu poezji — agitki.

Tyle o poetach. Grupa dopełniają recenzji i dziennikarzy: Jan Gawalkiewicz i Tadeusz Lutogńiewski. Gawalkiewicz, katolik — jednak grupy, to pióro bystre i inteligentne, ale metodycznie niezdecydowane. Pozostając wobec socjologicznego pojmowania literatury w wiecznej opozycji, nie wybrał dotąd żadnej konsekwentnej drogi. Lutogńiewski, dawniej ambitny twórca, dziś jest świetnym dziennikarzem — specjalistą od spraw literatury. Jego „Ekran Tygodnia” (dodatek do „Wrocławskiego Kuriera Ilustrowanego”) należy (powtarzam opinie pozawrocławskich

sprawozdawców prasowych) do najlepszych dodatków literackich w Polsce.

Jest rzeczą znaną, że brak tu zupełnie prozaików. Próbowali kiedyś sił Romuald Cabaj i Jerzy Cieślowski, ale pierwszy odszedł do roboty radiowej, drugi rozmnienia się na drobne kawałki satyryczne i recenzje w dziennikach.

Obecny I rok polonistyki wydał grupkę skupiającą się około powielaczowego pisemka „Chochoł”. Ich zbyt krótka działalność nie pozwala na żaden wartościujący sąd. Wystarczy stwierdzić, że są wśród nich ludzie zdolni i obiecujący.

Z tej nader pobieżnej charakterystyki środowiska można odczytać przynajmniej dwa fakty. Po pierwsze — stale przewijające się przeciwstawienie „dawniej... dziś”, dowodzi ciągłego rozwoju grupy, po drugie — konieczność poprzedzenia „wrocławskiej kolumny” tego rodzaju wstępem świadczącym przeciw samej grupie. Nazwiska powinny mówić za siebie, tymczasem mało kto je w Polsce zna. Przyczyny nie należy szukać w poziomie artystycznym ich prac (Wrocław nie ma potrzeby wstydy się swoich młodych), ale raczej w zjawisku, które bym nazwał „kompleksem młodszości kulturalnej” Wrocławia. Młodzi pisarze nie wychodzą publikacjami poza region. W „Odrze” i „Zeszytach Wrocław-

skich” czują się pewnie i swojo, ale kontakty z „Kuźnicą” i „Odrodzeniem” — to sprawa dosłownie ostatnich tygodni. Za kompleks ten nie ponoszą naturalnie winy wspomniane redakcje, lecz literacka geografia naszego kraju. W polskim trójkącie kulturalnym (Warszawa — Łódź — Kraków) na Wrocław patrzy się życzliwie, choć nieco pobłażliwie. Starsi bracia deklamują o ważności kulturalnej Ziemi Zachodnich, ale sami się do Wrocławia nie kwapią.

Na rozwoju młodych waży zwykle starsze środowisko literackie. Niestety pisarzy wybitnych zbyt łatwo tu policzyć. Jest ich właściwie tylko troje: Anna Kowalska, Tadeusz Mikułski i Wojciech Żukrowski. Ci robią, co mogą: urządzają „Czwartki literackie”, pośredniczą między młodymi a redakcjami pism literackich i dopominają się u adeptów pióra o recenzje do „Zeszytów Wrocławskich”. Jest tych ludzi dobrej woli jednak za mało i to osłabia liczebność grupy młodych. Młodzież literacka, która ze zrozumiałych powodów poszukuje większych skupisk literackich, omija Wrocław. Ze swego stanowiska ma rację i trudno ją posadzać o egoizm. Winić można jedynie starszych pisarzy, którzy nie rozumieją, że pracować można także we Wrocławiu i wola „czworaki literackie” na Krupniczej czy Bandurskiego.

Jerzy Ziomek

Jan Pierzchała

## WYZNANIA

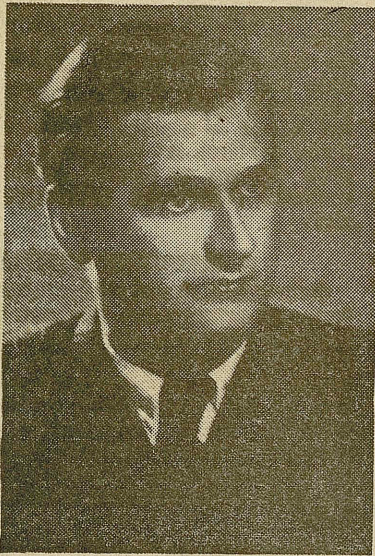
Gdyby tak jednak rewolucja.  
Gdyby tak, jak chciał Mickiewicz.  
Światem, jak karuzelą zahaść  
i pięścią na odlew zdzielić.

W domu sę tylko o zgryzocie mówilo.  
Nawet nie szepnął nikt: ojczyzna.  
W 36-tym roku o niewiele szło,  
o parę groszy a zaczęli strzelać.

Teraz już o tym nie każdy wie.  
W ciszę się garną wszyscy, w ciszę.  
Zapytajcie robotników z Sosnowca,  
ci by wam powiedzieli o Rzeczypospolitej.

Pomyśleć. Gdyby tak jednak rewolucja.  
Gdyby tak, jak chciał Mickiewicz.  
Rozewrzeć naraz usta  
i jak z armaty strzelić.

Byłoby inaczej. Panie w tramwaju,  
które, jak od smrodu krzywią usta,  
miałyby w rękach koszyk z marchwią,  
włosy w kółko i byłyby w chustkach.



Elżbieta Miłanczówna

## NAD NARWIĄ

Córka liberalnego mieszczaństwa,  
którą uczono:  
rozumieć to znaczy wybacząć  
na próżno starałam się pojąć nad Narwią  
Jana Srokę  
który z przedostatnią gwiazdą  
umniejszał państwowy las  
o jedną bezbronną sosnę.  
Nie mogłam mu wybaczyć jego nędzy.

Krajobraz pierwszej młodości  
— wtedy wieś za wydrami  
przerosła moje doznanie.

Na letnisku miejska kobieta  
wmusza w niecierpliwie dziecko  
jeszcze jeden łyk mleka.

Ale bosc dzieci mają atramentowe usta  
i kosze pełne jagód.  
Na stacji „Pustki”  
przekupień daje dwanaście groszy od garnca.

Jakże tu było czytać Romain Rollanda.  
W paryskiej mansardzie  
to właśnie Jan Krzysztof mówił o pojmowaniu.  
Tam na triumfalnym łuku  
miasteczko nad Narwią  
wryto w spisie napoleońskich bitew.

A tu na jarmarku  
chłopi pobili się w karczmie  
i potem wymyślali na żyda  
że ich wszystkich oszukał.

Tylko las jest wiecznie zielony  
i kołysze się wdzięcznie  
od szmaragdowej spódnicy kurpianki  
kiedy goni krowę na wilgotnej polanie.

Doprawdy  
nie znam rzeki bardziej błękitnej niż Narew.

Tadeusz Urgacz

## CZARNY BOB Z U. S. ARMY

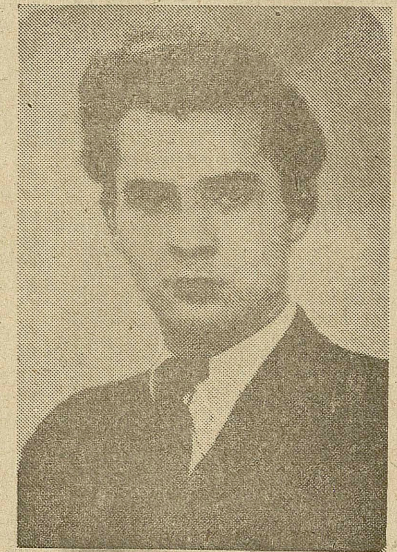
(szkie wiersza)

Czarny Bob z amerykańskiej armii  
za Europę się bł —  
krwią jak nabojem z karabinu  
celował z całych sił.

Dziś czarny Bob w Paryżu  
chodzi pijany — cóż za gaffa.  
Pod nosem śmiesznie wyskoczyła  
wieża Eiffila: żyrafa.

Pł wódkę nabyty w smutek  
jak w stary swój karabin:  
dzisiaj już wsiąkała moja krew,  
znów jestem czarny.

Czarny jest świat, czarna skóra  
i czarna jest moja żona,  
i tylko moja krew  
była czerwona.



## ROK 1950

Czarne koniki dymu  
klusują w rozpędzie od fabryk,  
towarzysze nie z mojej partii  
niosą lornetkę.

Lornetka podmalowana w szafir  
pokazuje rok pięćdziesiąty —  
dlaczego smutny pukiel  
zawsze zasłaniał mi oczy?

Nieprzyzwyczajony do wiary  
widzę na freskach powietrza.

Nie dam lornetki choćbym:  
żołnierzowi bez rąk,  
ciężkokom ludzom,  
nieznajomej kobiecie  
kręcącej niebieskie skrzydło wiatraka.

Szkiełkiem ładniejszym od oka  
widzę lato zachwyty.

Nieprzyzwyczajeni do wiary  
szukają świętszej lornetki.

Chwałę strofę zwyczajną — szepkanie na wargach  
o rzeczy co nie zszarpie nie i nie potarga.

Chwałę jadło na misce. Pochwalam też śpiew  
o panach co cygara palili w stolicy.

Chwałę radość za wierszem i głos który syci.  
Chwałę drogę w topolach z Chorzowa do Lipin.

Pochwalam śpiew klarnetu i kamień w kościele,  
pochwalam chód staruszków, pochwalam też zielenie.

Pochwalam ryk kopalni i mowę o świecie.  
Chwałę szum robotniczy, który na nas idzie.

Pochwalam powrót z wojny o dobrej godzinie  
i chwale dzień dzisiejszy i przed nim się chyle.



Władysław Strzebiński

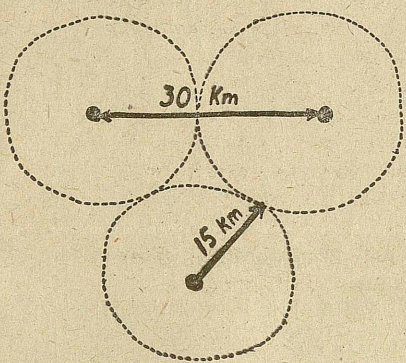
# Obraz Łodzi kapitalistycznej

**R**OZWÓJ Łodzi jest typowym rozwojem XIX-wiecznego miasta kapitalistycznego. Z jej planu możemy odczytać kolejne etapy narastania sił produkcyjnych i wytwarzanych przez nie sprzeczności społecznych. Zasadnicza sprzeczność: pomiędzy społeczną formą produkcji a indywidualnym sposobem przywłaszczania jej wyników — znajduje swój odpowiednik w planie miasta, gdzie każdemu kolejnemu etapowi uprzemysłowienia odpowiada kolejny bezsens warunków mieszkaniowych, pogorszonych w wyniku wzrostu sił produkcyjnych. Każdy wzrost sił produkcyjnych, każdy skok wzwyż odbijał się kolejną klęską na szerokich masach mieszkańców Łodzi. W wyniku tego rzadkiego w historii dynamizmu rozwojowego powstał konglomerat, nie nadający się właściwie do zamieszkania. Ogrom pracy, wydobytej z wysiłku Łódzian — nie służył im, nie dał dla nich żadnego wyniku. Z punktu widzenia urbanistyki — wysiłek kilku pokoleń włókienników łódzkich poszedł na marne. Historia budowy Łodzi jest historią zmarnowanej (dla społeczeństwa) pracy tego społeczeństwa.

## ŁÓDŹ PIERWOTNA.

Położona na przeprawie przez rzekę Łódkę, tam gdzie ją przecinała drugorzędna droga z Łęczycy do Piotrkowa, teren był gęsto zalęśniony i bagnisty, drogi rozmożone i trudne. Łódź służyła jako punkt wypoczynkowy (karawa, zajazd itd.).

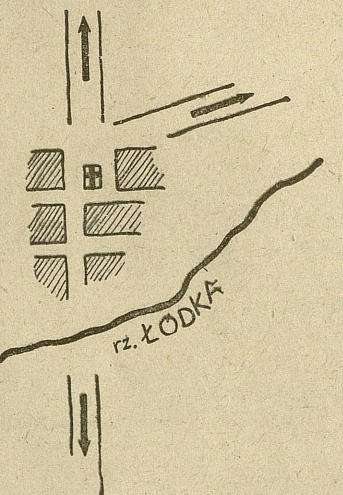
Jednocześnie z tym pełniła Łódź inną funkcję — rudymenarną, funkcję, związaną jeszcze ze średniowieczem. Łódź była miasteczkiem rzemieślniczym, tak typowym dla sieci miast średniowiecznych. Każde takie miasto zaopatrywało w wyroby rzemieślnicze najbliższe, przylegające tereny. Każde takie miasteczko, odległe jedno od drugiego przeciętnie o 30 kilometrów było naturalnym ośrodkiem terenu o odpowiadającej mu strukturze gospodarczej. Odległość 30 kilometrów była uzasadnioną długością drogi dziennej.



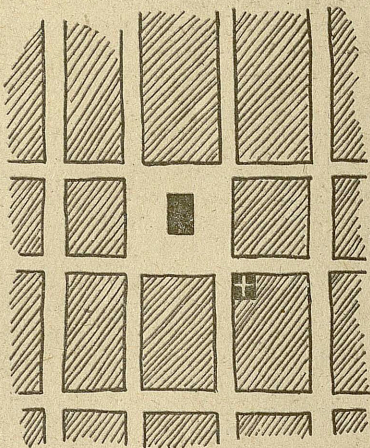
Mieszkańcy, osiadli gdzieś na peryferii właściwego terenu, wyjeżdżając do miasteczka po zakup potrzebnych mu wyrobów przemysłowych — miał do przebycia drogę 15 kilometrów w jedną stronę i, po załatwieniu zakupów, zdążyć jeszcze tego samego dnia powrócić do domu. Promień terenu, przynależnego do miasteczka wynosił w ten sposób 15 kilometrów i każdy rolnik, wyjeżdżając po zakupy, unikał niebezpieczeństwa podróży nocnej.

Gęsta sieć tego typu miasteczek, równomiernie rozmieszczonych w terenie — stanowiła podstawę średniowiecznego, urbanistycznego ukształtowania kraju. Każde miasteczko zaopatrywało swój okręg w niezbędne codzienne wyroby rzemiosła. Miasteczko wraz z okragiem stanowiło podstawową jednostkę gospodarczo - polityczną.

Wskutek istnienia obok Łodzi tak potężnego centrum, jakim niegdyś były Brzeziny (obecnie Łódźskie) — nie mogła się ona w pełni rozwinąć. Część jej funkcji przejęły Brzeziny, jako miasto bardziej atrakcyjne. Stąd pochodził niedorozwój Łodzi średniowiecznej. Dopiero w wieku XV została ona, po długich staraniach uznana za miasto. O tym jej niedorozwoju do pełni miasteczka średniowiecznego możemy się przekonać, oglądając jej plan



i porównując go z normalnym planem typowego miasteczka średniowiecznego,



złożonego z regularnej prostokątnej szachownicy ulic z rynkiem w środku miasta, z ratuszem w środku rynku i z kościołem w jednym z narożników rynku. W rynku skupiały się interesy handlowe, a ulice były zamieszkałe przez rzemieślników. Czasami w większych miastach każda ulica skupiała rzemieślników jednego zawodu. Tak np. były ulice: Szewska, Rzeźnicza, Rymarska itp.

Miasto, tak rozplanowane było wyrazem dwóch zasadniczych sił ekonomicznych, jakie je stworzyły: produkcji rzemieślniczej (ulice) i kapitału handlowego (rynek). Współdziałanie tych, wzajemnie się wspierających i zwalczających sił stworzyło swoisty układ funkcjonalny miasta średniowiecznego.

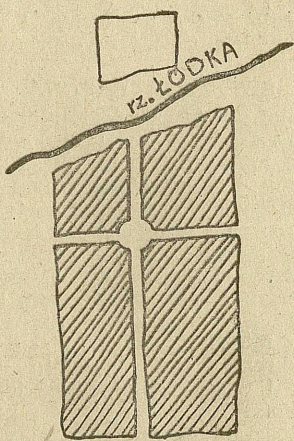
Otóż tej równowagi nie dostrzegamy w planie Łodzi średniowiecznej. Zamiast rozwiniętej regularnej szachownicy ulic — załedwie zaznaczony jej zarys. Zamiast rynku z ratuszem, otoczonego siecią gęsto zaludnionych ulic — plac (obecnie Kościelny), położony na krańcu miasta. W wyniku niedorozwoju rzemiosła i nieobecności kapitału handlowego, Łódź była miastem, gdzie wegetowało parę rzemieślników, lecz nie odbywały się żadne obroty handlowe. Jej plan mówi o stanie letargu tych sił, jakie powodowały gdzieś indziej do życia czynne i ludne miasta średniowieczne.

Teren lesisty i bagnisty był zoty stacy, by wyłonić z siebie dostatecznie aktywny organizm miejski. Zaplecze rolnicze nie wyłoniło miasta handlowo - rzemieślniczego.

## OSADNICTWO REMBIELIŃSKIEGO.

Ten właśnie niedorozwój terenu jego lesistość (tani budulec) i pustynność (łatwość załudnienia pustkowi) były argumentami, które przemawiały za nim, gdy Królestwo Kongresowe przystąpiło do rozwijania swoich sił ekonomicznych.

Teren osadnictwa rzemieślniczego został wybrany na polach, położonych na południe od ówczesnej Łodzi, wzdłuż drogi piotrkowskiej.



Obszar tego osadnictwa możemy wyznaczyć obserwując rozmieszczenie domów o fasadach 7-mio okiennych. Prawie wszystkie te domy należą do obszaru, objętego akcją osadnictwa rzemieślniczego. Chodząc po mieście, licząc okna, i obserwując domy, możemy niemal odczytać całą historię ich posiadaczy. Zasadniczą regułą jest dom 7-okiennej. Zdarzało się jednak, że któryśkolwiek z posiadaczy — prawdą i nieprawdą, przesuwał granicę i podstępem powiększał swój stan posiadania i dochodził w ten sposób do majetności o 8 oknach, na niekorzyść oszukanego sąsiada, który się musiał zadowolić domem o fasadzie 6-cio okiennej.

Zdarzało się, że 2 nowych właścicieli nabywało 3 parcele, dzieląc je między sobą. — i wówczas powstawały domy, o 10 oknach frontowych.

Zdarzało się również, że właściciel, opanowany pychą i próżnością — zwał okna i odstepy między nimi, lecz posiadał za to, na parceli normalnej — dom 8-okiennej, przedmiot jego dumy i ambicji, wynoszący go ponad sąsiadów.

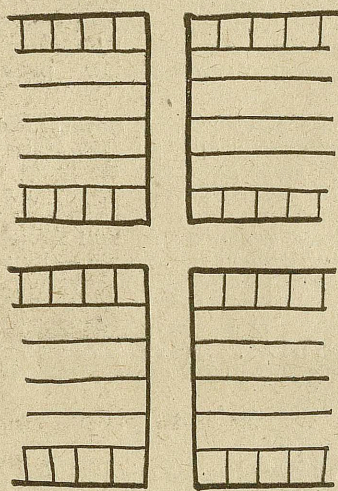
Obserwowanie szerokości domów na terenie

należącym do akcji osadnictwa rzemieślniczego pozwoli odczytać historię cnót mieszczańskich i historii podstępów i szacherek dobrosąsiedzkich.

Cały ten obszar, mieszczący się pomiędzy ulicami Gdańską — Kilińskiego i Ogrodową — Główną, posiada zwarty, jednolity typ domów o jednakowej szerokości 7 okien, odpowiadający jednakowej szerokości parcelom. Jak więc z tego wynika, akcja osadnicza była oparta na zasadach zgóry określonych i dokładnie przemysłowych. Proces powstawania Łodzi Rembielińskiego nie był procesem żywiołowym, lecz akcją planową. Każdemu osadnikowi wyznaczono określoną działkę, wynikającą z wymagań produkcji i zaopatrywano go w budulec z lasów rządowych.

Z tych działek składały się bloki nowopowstałego miasta rzemieślniczego, położonego na południe od starej Łodzi. Plan urbanistyczny określił miejsce ulic, wielkość działek i rozmiary domów. Funkcjonalizm, wynikający z produkcji, bezpośrednio z nią związany jest podstawową cechą urbanistyczną Łodzi, założonej przez Rembielińskiego. Inicjatywie osadników było pozostawione tylko techniczne wykonanie planu w ramach zgóry im wyznaczonych. Osadnictwo to było akcją planową.

Lecz, obserwując uważnie, dostrzeżemy w tym planie jeszcze jedną właściwość. Działki tkackie przylegają do ulic, biegnących z północy na południe. Lecz przy ulicach, skierowanych ze wschodu na zachód znajdują się te same domy 7-okienne, położone na parcelach, już nie wydłużonych, lecz kwadratowych. Są to parcele rzemieślnicze.



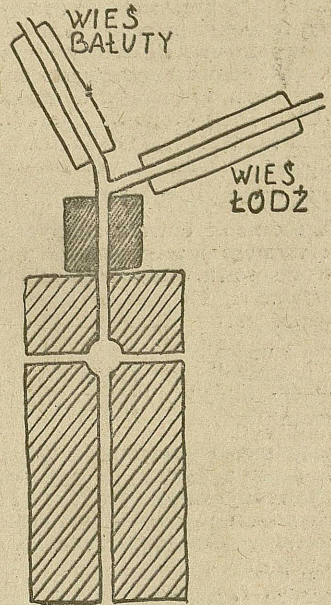
W kierunku południowym biegną ulice tkackie, a w kierunku równoleżnikowym — rzemieślnicze. Rzemieślnik nie potrzebuje terenu do suszenia, bieleńia itp. tkanin i dlatego otrzymuje działkę mniejszą, wystarczającą do postawienia domu z warsztatem. Otrzymał w ten sposób plan miasta odznacza się niezmierną przejrzystością i funkcjonalizmem układu. Nie chaos żywiołowego wzrostu lecz ściśła rzeczowość, uwarunkowana wymaganiami produkcji. Wyraźnie występują dwie główne siły gospodarcze, kształtujące organizm miasta: — tkactwo i rzemiosło.

I wśród tej masy jednakowych komórek produkcyjnych, wśród tej masy jednakowych 7-okiennej domków drewnianych — jedyny akcent odmienny — murowany, wczesno-biedermejerowski plac centralny — (obecny Plac Wolności) — ośrodek administracyjny i handlowy — jedyne miejsce, gdzie dopuszczony został do głosu — składnik estetyki. Wśród ściślej rzeczowej, codziennej masy domków rzemieślniczych i tkackich — jakże nieśmiały — biedermejerowski akcent architektoniczny.

Jeśli w swoim czasie w literaturze niemieckiej podnoszono zaślgi tkaczy przy powstawaniu Łodzi — wystarczy wskazać na plan miasta, na jego niespotykany w ówczesnej Europie, rzeczowy i ścisły funkcjonalizm, by rolę tkaczy niemieckich sprowadzić do jej rzeczywistego znaczenia — ślepych wykonawców genialnego planu.

Wzrost sił produkcyjnych, związanych z ukształtowaniem się Łodzi tkacko - rzemieślniczej dał zatrudnienie tysiącom pracującym w niej tkaczy i rzemieślników — stworzył dla nich warunki pewnego dobrobytu.

Jednocześnie z tym powstało zapotrzebowanie na pewne pomocnicze rodzaje pracy. Łódź stała się rynkiem pracy, wchłaniającym niewykwalifikowane i zdeklasowane elementy wsi późno - pańszczyźnianej. Chłop, wyrzucony z roli szedł do Łodzi, by o cokolwiek zacząć ręce, szukał pracy dniówkowej i doraźnej, która by go uratowała od głodu. Ten chłop nie mógł zamieszkać w stosunkowo za dużej i obcojęzycznej Łodzi tkacko - rzemieślniczej. Wszelkiego rodzaju niedza, jaka napływała do Łodzi, mogła się tam zacząć o pracę, lecz nie mogła tam zamieszkać. Śwó szedł do swego. Przybyły chłop bezrolny szedł na mieszkanie do miejscowego chłopu rolnego. Miejscem zamieszkania napływowej nędzy bezrolnej stały się okoliczne wsie: Bałuty i Łódź.



Zagadnienie Bałut, jako najgorszego piekła mieszkaniowego powstało jeszcze w epoce Łodzi przed - maszynowej, lecz trwało i rozwijało się przez cały czas jej istnienia. W ramach ustroju kapitalistycznego nie było środków dla jego zlikwidowania, ponieważ nieustanny proces tworzącego się kapitalizmu stał się, jako produkt uboczny, wytwarzał najbardziej upośledzone odpadki ludzkie, dla których lożyskiem były Bałuty.

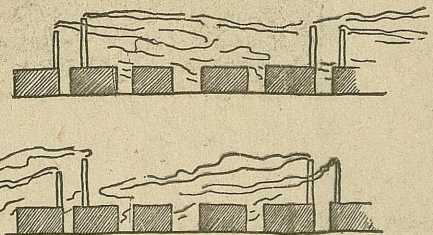
## PIERWOTNY ETAP UPZEMYSŁOWIENIA.

Rozpoczyna się około 1840, wówczas, gdy powstaje fabryka Geyera. Kongresówka oddzielona od Cesarstwa granicą celną. W środku Kongresówki, w Łodzi, w środku obszaru gospodarczego o jednolitej strukturze rozbudowuje się przemysł, zmierzający do nasycenia towarem całego swego obszaru. Zadanie to zostaje ułatwione wskutek centralnego położenia Łodzi.

Budowa nowych fabryk postępuje szybko i produkcja wzrasta. Fabryki powstają częściowo na peryferiach, częściowo w śródmieściu, na miejscu dawnych warsztatów rzemieślniczych, przekształconych obecnie na fabryki.

Ten nowy wzrost sił produkcyjnych, dając duże zyski właścicielom fabryk i utrzymanie dla nowych dziesiątek tysięcy pracujących — siłą sprzeczności, tkwiących w rozwoju gospodarki kapitalistycznej — nie ulepszył, lecz odwrotnie — pogorszył sytuację mieszkaniową Łodzi. Duże miliony rubli, na jakie oceniano ówczesną produkcję Łodzi — nie poszły na korzyść, nie przekształciły jej na lepsze, lecz odwrotnie, zniekształciły i zagmatwały dotychczas wzorowy funkcjonalizm Łodzi stworzonej przez Rembielińskiego. Fabryka żywiołowo wtargnęła, rozbudowała się tam, gdzie mógł lub chciał jej poszczególny właściciel, nie licząc się z wymaganiami higieny, komunikacji i zdrowych zasad urbanistyki. Funkcjonalna planowość układu miejskiego, tak uderzającego w planie Rembielińskiego — została zniekształcona na korzyść dzikich sił rozwoju kapitalistycznego.

Dzielnica tkacko - rzemieślnicza stała się śródmieściem Łodzi przemysłowej. Gruntownym i doszczętnym zadymieniem uniemożliwił pobyt w tym „śródmieściu” — stało się zadaniem nowopowstałych fabryk. Fabryki te powstają przeważnie wzdłuż ul. Kilińskiego i ul. Wólczańskiej — na wschód i na zachód od ówczesnego śródmieścia. Każdy, skądkolwiek wiejący wiatr zadymia cały teren miasta.



## POWSTANIE WIELKIEGO PRZEMYSŁU.

Po zniesieniu granic celnych pomiędzy Kongresówką a Cesarstwem, znalazł się przemysł łódzki w innej sytuacji i wobec nowych możliwości.

Dotychczas był on przemysłem centralnie położonym w stosunku do stosunkowo nieznanego obszaru Kongresówki i nastawionym na jej nasycenie towarem. Odgródzony granicami celnymi, był typowym przemysłem, obsługującym izolowany obszar i zabezpieczonym od konkurencji zewnętrznej. Lecz właśnie wtedy, gdy produkcję swoją rozbudował tak, że mógł wypełnić zapotrzebowanie terenowe — granice celne zostały zniesione i Łódź znalazła się wobec olbrzymich rynków Rosji i wobec konkurencji jej przemysłu.

Jednak w porównaniu z rosyjskim przemysłem włókienniczym, skoncentrowanym w



okolicach Moskwy — znalazła się ona w idealnej nieomal sytuacji, w jakiej umiejscowiono przemysł w okresie imperializmu, tzn. w bezpośredniej bliskości podstawowego surowca, jakim był w danym wypadku węgiel.

Tak jak początkowo — była ona centralnym punktem swego terenu, tak później — idealnie niemal, na złożach surowca osadzonym miastem taniej produkcji. To zadecydowało w obu wypadkach o jej szybkim rozwoju i umożliwiło wyłonienie się z masy fabryk kilku zakładów wielkoprzemysłowych (Geyer, Scheibler, Grohman, Poznański, Widzew).

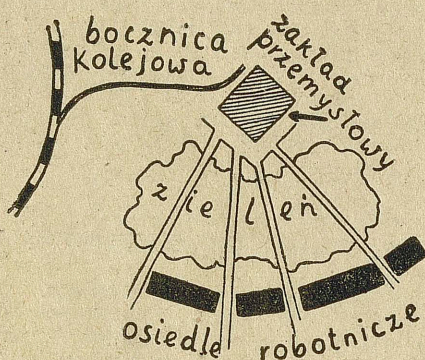
Wskutek wielkiej skali produkcji wyłonił się przed tymi zakładami cały szereg nowych zagadnień organizacyjnych, z jakimi się nie spotykał przemysł, niższe zorganizowany.

1) Zagadnienie dowozu olbrzymich mas surowca wymagało zorganizowania komunikacji — przeprowadzenia własnych bocznice towarowych.

2) Zagadnienie zabezpieczenia sobie sił roboczych i uniknięcia naturalnych, przy takiej masie pracowników, spóźnień — wymagało rozbudowy osiedli robotniczych, związanych z terenem pracy.

3) Zagadnienie zdrowotności (gdyż chory robotnik pracuje gorzej, a poszukiwanie nowych powoduje zastój produkcji i stratę zyskanych godzin pracy) — wymagało stworzenia zieleni, obsługi zdrowia itp.

W ten sposób powstał schemat, zrealizowany bardzo częściowo (zysk kapitalisty!) lecz posiadający w sobie załączek społecznego rozwiązania zagadnień urbanistycznych w skali wielkoprzemysłowej.



Ten schemat określa podstawowe elementy funkcjonalne układu urbanistycznego:

- 1) Zakład przemysłowy (miejsce pracy),
- 2) bocznica kolejowa (transport towarowy)
- 3) strefa zielona, zabezpieczająca świeże powietrze,
- 4) osiedle robotnicze, oddzielone zielenią od dymów fabrycznych.

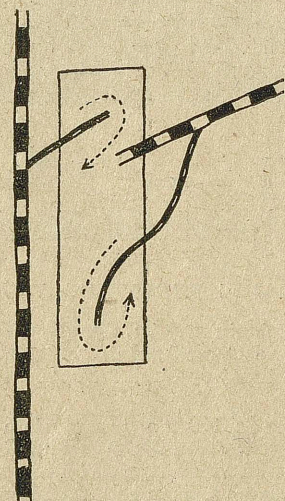
W realizacji, zgodnie z prawem sprzeczności rozwoju kapitalistycznego, wszystkie te składniki, nawet jeśli zostały wykonane — nie dały pożądanego efektu społecznego.

Zamiast osiedli robotniczych wybudowano zwykłe koszary, w których robotnik znalazł się w podwójnej zależności od fabrykanta — jako od pracodawcy i jako od kamienicznika.

Strefa zielona została otoczona przez żywiołowo i bezplanowo rozbudowujące się miasto. I cóż robotnikowi z tego przyszło, że poza zielenią dosięga go dym nie z „jego” fabryki, lecz z fabryki innego właściciela?

Tylko bocznicę kolejową stanowiły wkład trwały i niezmienny w organizm miasta. Lecz i tutaj — to co miało wzmagać siły produkcyjne — stało się jarmem i niewolą dla mieszkańców.

Przez Łódź przechodzą dwie bocznicę fabryczne. Jedna od linii Kaliskiej, prowadzi do zakładów Poznańskiego, druga od linii Fabrycznej — do Scheiblera i Grohmana i dalej — do Geyera. W swoim bezplanowym, żywiołowym rozroście miasto wyszło poza swe pierwotne granice. Linie te, przebiegające poprzecznie przez pustkowie podmiejskie, znalazły się niemal w środku miasta. Powstały trudności komunikacyjne. Linie te rozciąły miasto na części, pomiędzy którymi nie ma komunikacji. Np. cała dzielnica płn. — zach. została odcięta przez bocznicę Poznańskiego, a dzielnica pld. — wsch. przez połączone bocznicę Scheiblera, Grohmana i Geyera.



### TRZECIA FAZA UPZEMYSŁOWIENIA.

W końcu XIX w. i na początku XX przemysł łódzki ostatecznie włączył się w aparat imperializmu Rosji carskiej. Było to tym łatwiejsze, że pieniądź nie ma zapachu, a zasadnicza masa fabrykantów składała się z ludzi narodowości obcych terenowi.

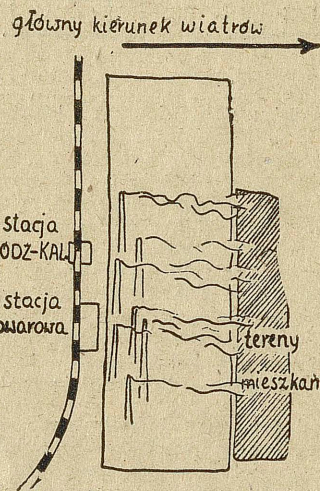
Przemysł łódzki posiadał dane ku temu, by

być najbardziej imperialistycznie nastawionym środowiskiem włókienniczym ze środowisk włókienniczych ówczesnej Rosji. Tamte ośrodki włókiennicze leżały zasadniczo w centrum kraju (Moskwa, Iwanowo i in.), oddalone zarówno od swego węgla, jak i od swojej bawełny. Ich położenie terenowe narzucało im rolę, znaną nam z okresu niedorozwoju przemysłowego — rolę centralnego ośrodka, zmierzającego do nasycenia towarami swego obszaru. Dlatego przemysł okręgu moskiewskiego był nastawiony na zaopatrywanie rynków Rosji Europejskiej, na ich nasycenie towarami. Tymczasem Łódź, położona bliżej węgla, produkując taniej — wysyłała towary na rynki syberyjskie, na rynki Dalekiego Wschodu i Chin. Wskutek tanich kosztów produkcji mogli fabrykanci łódzcy zdobywać te wyniki, o jakich nie śnieli nawet marzyć fabrykanci moskiewscy. Fabrykanci łódzcy stali się awangardą imperializmu carskiego.

Na tle tej współpracy doszło do skutku budowa linii kolejowej Łódź — Kalisz — linii bawelnianej. Przemysł Scheiblerów, Grohmanów i Biedermanów otrzymał linię kolejową, która miała obniżyć jeszcze więcej jego kosztów produkcji i ułatwić mu na rynkach Dalekiego Wschodu konkurencję z republikanami i liberalnie nastawionymi kupcami moskiewskimi. To był godny prezent carów dla ich lojalnych sprzymierzeńców.

Lecz pozostawał drugi surowiec — bawełna. Ten drugi surowiec przychodził do Moskwy drogą morską przez Petersburg, a do Łodzi — z Bremy. W obu wypadkach odległość ładownia, odgrywała główną rolę w kosztach transportu — była jednakowa. Lecz z Bremy do Łodzi nie było prostej linii kolejowej. Droga prowadziła okólnie: przez Poznań i Warszawę. Dla skrócenia tej drogi, dla uniknięcia dłuższego łuku Poznań — Warszawa — Łódź, została wybudowana linia kolejowa z Łodzi do Kalisza, związana z kolejami niemieckimi. To skrócenie drogi odbiło się na niższe koszty transportu bawełny, uczyniło przemysł łódzki jeszcze zdolniejszym do konkurencji i wprowadziło go na drogi współzawodnictwa awanturnicza wschodnią polityką caratu (Mandżuria, Chiny, Afganistan, Persja). Otworzyły się nowe rynki. Powstała nowa koniunktura. Nastąpił nowy krok w rozwoju produkcji i budowie nowych fabryk. W pierwszym dziesięcioleciu XX w. powstaje w Łodzi szereg nowych zakładów przemysłowych.

Następuje nowy rozkwit Łodzi. Liczba ludności wzrasta z 350 na 500 tysięcy. Ta cała nowa masa ludzi znalazła pracę w rozszerzonych starych i wybudowanych nowych fabrykach. Nowe fabryki powstają w związku ze stacją towarową na linii Kaliskiej — i w jej najbliższym sąsiedztwie — by zmniejszyć koszt transportu kołowego. W oparciu o stację towarową powstaje całe skupisko fabryk w zachodniej dzielnicy Łodzi. Natomiast ludność świeżo przybyła do Łodzi osiedla się przeważnie w jej dzielnicach wschodnich.



### BUDOWNICTWO EPOKI SANACYJNEJ

W epoce sanacyjnej zasadniczo nie powstawały żadne nowe zakłady przemysłowe. Rynki wschodnie odpadły, a na rynkach zachodnich i południowych trudno było przemysłowi łódzkiemu wytrzymać zwycięską konkurencję przemysłów wyżej zorganizowanych.

Wkrótce nastąpił kryzys światowy lat 1929 — 1933, bezrobocie, ucieczka kapitałów i produkcji do Ameryki — warunki nie sprzyjające powstawaniu nowych fabryk. Odwrótnie — nawet istniejące fabryki ograniczały swoją produkcję, zadłużały się, bankrutowały lub otrzymywały zarządy komisaryczne i przymusowe.

Rozwinęło się natomiast budownictwo mieszkaniowe, oparte o kredyty państwowe. Częściowo było to budownictwo prywatne (zabudowanie posiadanych działek małymi domkami), częściowo budownictwo tzw. „społeczne” (budujące całe zespoły, osiedla i kolonie mieszkaniowe).

Zdawałoby się, że ta wzmogła troska rządowych sfer sanacyjnych, że ta stosunkowo znaczna akcja popierania wszelkich typów budownictwa — może zaspokoić powojenny głód mieszkaniowy i naprawić braki urbanistycznego ukształtowania Łodzi. Gdyby stworzono odpowiedni plan rozbudowy Łodzi, kierowany przez interes społeczny, przez świadomość istniejących braków, gdyby przez stopniową przebudowę zmieniono charakter istniejących dzielnic, a dzielnicom nowym nadano właściwy charakter społeczno-funkcjonalny — wówczas akcja ta po pewnym czasie zmieniłaby charakter miasta i usunęłaby chociaż najbardziej rażące braki.

W tak pomyślanym planie należałoby u-

względnić należyte rozmieszczenie i przeniesienie fabryk, wzajemne ustosunkowanie dzielnic mieszkaniowych i dzielnic fabrycznych, stworzenie pomiędzy nimi pasów ochronnych zieleni i drzew, wyznaczenie właściwego stosunku terenów zabudowanych i pustych, wzięcie pod uwagę kierunku wiatrów i ciągnących się dymów itp.

Tego jednak półfaszystowski reżim sanacyjny uczynić nie mógł. Nie leżało to w jego celach. Całe to nastawienie „społeczne” było społecznym tylko z pozorów i formy. Istotną treścią faszyzmu jest opanowanie aparatu państwowego przez grupy kapitału finansowego i wykorzystanie tego aparatu w interesie wymienionych grup. W danym wypadku chodziło o stworzenie rynku dla gałęzi przemysłu, związanych z ruchem budowlanym. Udzielając kredytów państwowych (z pieniędzy podatkowych), rząd jednocześnie uruchamiał, wprowadzał w obieg ukryte zasoby i oszczędności tych, którzy przystępowali do budowy. Otóż uruchomienie jak największych zasobów, stworzenie jak największego zapotrzebowania na produkcję związaną z budownictwem, zapewnienie największego dochodu kartelom i trustom przemysłu budowlanego — było w danym wypadku celem dążeń. Nie społeczna jakość wykonanych budowli, nie interes społeczny, lecz jak największa ilość i jak największy dochód kartelom cementu, żelaza itp. Tym tłumaczy się brak określonych planów społeczno-urbanistycznych i odwoływanie się do każdej dzikiej i chaotycznej inicjatywy budowlanej.

Budownictwo epoki sanacyjnej było oparte o interes posiadacza terenów budowlanych. Rentowność parceli, wyciągnięcie z niej największego osiągalnego zysku — oto było główne kryterium zabudowy.

W ten sposób dookoła Łodzi powstał cały szeroki pas domków, osiedli, kolonii mieszkaniowych itp. — bez względu na przydatność terenów, na kierunek wiatrów, na położenie sąsiednich fabryk, na podmokłość gruntu itp. Zamiast celowej i zwartej zabudowy terenów lepszych — i wykorzystania pod zielenie i parki terenów nie nadających się do zabudowy — zabudowano wszędzie równomiernie jednakową gmatwaninę drobnych parcel, małych ogródków, domków niedociągniętych do współczesnej techniki budowlanej, drobnych śmietników. Zmarnowano w ten sposób wiele kilometrów kwadratowych, które (należyce wykorzystane) dałyby zdrowie, higienę i wyższy kulturalnie poziom życia dziesiątkom tysięcy ludzi; zmarnowano olbrzymie tereny budowlane, zmarnowano olbrzymie środki finansowe.

Nawet organizacyjnie wyższe „społeczne” budownictwo osiedli mieszkaniowych nie zawsze odpowiadało wymaganiom. Tylko osiedle miejskie im. Montwiłła-Mireckiego zostało należyte wybudowane i umieszczone na właściwym terenie. Natomiast:

a) osiedle na Karolewie (tzw. domki biskupie) zostało wybudowane na terenie podmokłym, co wpływa na reumatyzm i gruźlicę mieszkańców.

b) osiedle przy ul. Narutowicza zostało umieszczone na wschód od tak potężnych zbiorników dymu, jak elektrownia i Dworzec Fabryczny. Wiatry wiejące od zachodu rozciągają płaszcz tych dymów nad wymienionym osiedlem, co nie jest korzystne dla zdrowia mieszkańców.

c) osiedle skarbowców na Julianowie zostało położone na wschód od ulicy Zgierskiej bez jakiegokolwiek zabezpieczenia się od wypadku, że przy tej ulicy powstana fabryka, i ich dym zatruje powietrze nad osiedlem.

d) osiedle Ubezpieczeń Społecznych na Chojnach zostało wybudowane wśród otoczenia drobnych domów. Gdyby kiedykolwiek, prawem rentowności terenów powstał tu fabryka — ich dym szedłby w kierunku na osiedle. Zaden pas zieleni i drzew nie został przewidziany. Żadnej ochrony.

### SYTUACJA OBECNA

Łódź, jaką my teraz widzimy, powstała w wyniku sprzeczności rozwoju kapitalistycznego. Jej każda dzielnica, każdy wycinek przestrzenny jest ukształtowanym w zębie i drzewie wyrazem tych sprzeczności. Olbrzymia ilość pracy włożona przez jej ludność — w wyniku swym została skierowana przeciwko niej samej. Tak powstała Łódź, miasto sprzeczności pomiędzy bogactwem, jakie ona wytworzyła — a uwarunkowaniem z normalnych warunków mieszkaniowych, miasto, które w każdym okresie swego rozwoju budowało właśnie to i właśnie tak, jak tego czynić nie należało.

Tak powstały Bałuty, dzielnica potwornej nędzy mieszkaniowej, oniania przepisów budowlanych i drobnicowego, drapieżnego wyzysku — obecnie, w wyniku wojny, zniszczona.

Tak powstał chaos budowlany śródmieścia, gdzie luksusowe domy sąsiadują z dymiącymi kominami fabryk.

Tak powstał chaos komunikacyjny dzielnic, odciętych bocznicami kolejowymi od reszty miasta.

Tak powstał brak zieleni w dzielnicach przeludnionych i przepchniętych zabudowaniami, „rentownie” kalkulującymi każdy metr powierzchni gruntu.

Tak powstało około 120 kominów fabrycznych w okolicach stacji Fabrycznej i stacji Kaliskiej — doszczętnie zadymiających miasto przy sprzyjającym wietrze zachodnim, wiejącym podczas 10 miesięcy w roku.

Tak powstała bezplanowa, chaotyczna i rozrzućna zabudowa terenów peryferyjnych — nie na poziomie współczesnej wiedzy architektonicznej i współczesnej techniki budowlanej — lecz na podobieństwo jakichś tymczasowych kłitek.

W wyniku tego wszystkiego Łódź stanowi teren wielu kilometrów kwadratowych, gdzie w każdym okresie rozwoju tworzone

to wszystko, co może uniemożliwić zamieszkanie jej przez mieszkańców.

Co należy uczynić? Dialektyka materialistyczna daje ogólną odpowiedź:

Każda następna sytuacja wynika ze wszystkich składników poprzedniej, lecz jest jej dialektycznym zaprzeczeniem. Tworząc nową Łódź, musimy się oprzeć o tę metodę rozwoju dialektycznego.

Jakie są składniki rozwoju poprzedniego? Są to cenne maszyny, zapas wiedzy, chęć tworzenia ujarzmiana dotąd przez stosunki własności prywatnej — są to setki tysięcy rąk zdolnych do pracy i przez swoją codzienną pracę wytwarzających bogactwa.

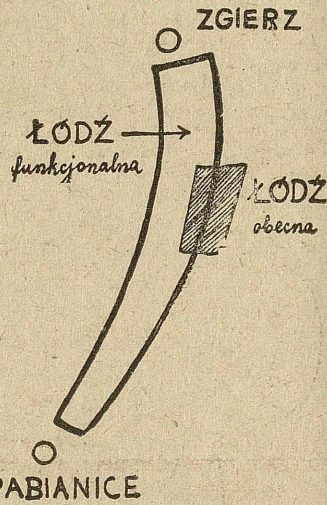
Ta dialektyczna zmiana warunków historycznych, jaka zadecyduje o powstaniu nowej Łodzi, jest zanik prawa sprzeczności rozwoju. Z chwilą gdy społecznie wykonywana praca przestaje być narzędziem ujarzmienia jej wykonawców — otwiera się możliwość planowej budowy nowej Łodzi — Łodzi funkcjonalnej, Łodzi, która służy jej mieszkańcom.

W tym konglomeracie, jaki stanowi Łódź współczesna, Łódź, jaką odziedziczyliśmy po epokach poprzednich — należy rozróżnić, co stanowi trwałe wyniki rozwoju poprzedniego, a co — dialektycznie zmienną cechą, przemijającą, związaną z minionymi okresami i podlegającą zaprzeczeniu w okresie obecnym.

Tymi stałymi składnikami, narastającymi w ciągu całego rozwoju dotychczasowego są: ludzie, maszyny i praca — realne siły produkcyjne.

Otóż w oparciu o te realne siły produkcyjne należy zbudować Łódź nie ujarzmienia kapitalistycznego, lecz Łódź, wyzwolającą człowieka i jego siły produkcyjne. Łódź, zbudowaną na nowym planie i opartą o nowe zasady urbanistyczne — Łódź funkcjonalną.

Terenem, na jakim się rozwinie jej przyszłe budownictwo, byłby szeroki pas przestrzeni pomiędzy Pabianicami a Zgierzem. Pas, gęsto związany siecią komunikacyjną i uzbrojony we wszelkie instalacje techniczne, higieniczne, energetyczne itp.

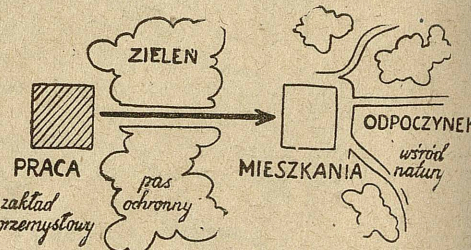


W związku z likwidacją drobnych zakładów i łączeniem drobnych fabryk w duże zakłady przemysłowe powstaje możliwość ścisłego planowania terenowego i uzgodnienia planów budownictwa przemysłowego z planami budownictwa mieszkaniowego. Każda przewidziana ilość pracujących może być zaopatrzona w zgóry zaplanowaną ilość mieszkań.

Na dużych niezabudowanych, wolnych przestrzeniach pomiędzy Pabianicami a Zgierzem należy budować nowe kombinaty przemysłowe związane z odpowiadającymi im osiedlami mieszkaniowymi — otóż otoczone zielenią, oświetlane słońcem i owiewane wiatrem, wiejącym z pół osiedla na najwyższym poziomie wiedzy architektonicznej, osiedla godne człowieka z epoki gospodarki planowej — a nie chałupinki i nie koszary Scheiblerów i Poznańskich.

Nie przebudowywać miasta przeciążonego sprzecznościami rozwoju kapitalistycznego, nie dodawać nowych budynków do już istniejących, nie wstawać w urbanistykę, wyrosła z celów ujarzmienia człowieka przez człowieka — lecz tworzyć nowy plan urbanistyczny — plan giętki i elastyczny, wynikający z wymagań pracy i życia żywego człowieka, który zasługuje na to, by mógł żyć i pracować.

W tym giętkim planie miasto nie byłoby terenem ciągłym, nie byłoby mechanicznym zbiorowiskiem rentujących się parceli — lecz żywym organizmem, wywodzącym się z funkcji pełnionych przez człowieka — z jego go pracy, z jego odpoczynku, z jego zdrowia.



Pas takich osiedli, przedzielonych żywą naturą — stanowiłby organizm przyszłego miasta. Pas osiedli, mocno związanych ze sobą wszelkimi środkami komunikacyjnymi. Pas osiedli, łączących najwyższą technikę z bezpośrednio dostępną, nienaruszoną, żywą naturą.

Władysław Strzeżiński

\* Mój artykuł „Łódź funkcjonalna” w „Młoty Współczesnej”.



Adolf Olechnowicz

## O T O W I E Ś!

## STO LAT TEMU

Najpierw oglądam Kronikę Szkolną. Jest to dużego formatu książka w twardej oprawie z wygniecionym na niej złotym napisem: „Kronika szkolna”.

Zaraz za okładką wklejone są dwa stare dokumenty. Są to: „Rapport o stanie Szkoły Elementarnej Rządowej obojczy płci we wsi prywatnej Głuchów w Powiecie Rawskim Gubernii Warszawskiej” za rok szkolny: jeden — 1853/54, a drugi — 1858/59.

W „Rapportach” tych czytamy, że: „etat nauczycielski w Głuchowie był już stały, do etatu przydzielono 90 rubli rocznie. Dom szkolny jest niewygodny i za ciasny. Do szkoły zapisanych jest 37 dzieci: 25 chłopców i 12 dziewcząt, w tym — 9 dzieci stanu miejskiego, a 28 — wiejskiego. Wszyscy religii rzymsko-katolickiej. Do szkoły chodzą dzieci z: Głuchowa, Mitochnewic, Pruss, Celigowa, Michowic, Józefina i Woli Naropińskiej. W ciągu roku szkolnego naukę przerwało — 5 dzieci. Naukę rozpoczęło 4. 11. 1858, zakończono — 16. 5. 1859. Nauki dawnie były od właściwej władzy przepisane, lekcje bywały 3 godziny rano i 2 — po południu. Egzamin odbył się w przytomności Wielmożnego Opiekuna Księdza Logi 16. 5. 1859. Na nabożeństwie bywały dzieci w dniu niedzielne, świąteczne i galowe. Spowiedź odbywała się podług przepisów. Książek używano wskazanych. Szkółkę zwiedził wielmożny Opiekun w ciągu roku kilka razy”.

A wykaz pomocy naukowych wygląda dość słownie tak: „Katechizm, tabl. 14, gramatyka rosyjska, wiadomości o ratowaniu osób, wzory pisania 3 egzempli, Żywot Pana Jezusa, Kmiotek z 1849 r., bajki Rodziszewskiego, przewodnik dla nauczycieli, zmiana miar celi, poradnik o grasującej cholery, zasady poprawnego czytania i pisania po polsku”. Podpisał: Franciszek Trubaszek — nauczyciel, oraz (na wcześniejszym Rapporcie) — Ksiądz Loga — Opiekun.

## WIELMOŻNY OPIEKUN

Ksiądz Loga był proboszczem, a proboszcz tu z zasady pełnił funkcję Opiekuna Szkoły i był bezpośrednią władzą nauczyciela. Franciszek Trubaszek był z pochodzenia Czechem. Z ojczyzny swojej przywiózł znać więcej wolnego myślenia, niż na to w Księżstwie Łowickim pozwolił sobie było można. Tak czy inaczej, dość, że między nim a księdzem dochodziło do konfliktu. Ksiądz Loga nie chce mu podpisywać kwitów (odmówił też podpisu na ostatnim Rapporcie), co równało się wstrzymaniu poborów. Bo Wydział Oświecenia Woj. Mazow. w Rawie, pismem z dnia 14 stycznia 1841 r. Nr. 18090 zawiadomił wszystkich obywateli (oczywista ziemskich), proboszczów i wikariuszów, „aby mieli ciągłą baczność nad prowadzeniem się nauczycieli i ich czynnościami jako z powołania swego w przedmiotach naukowych Opiekunów szkółek elementarnych i po każdym upłyniętym miesiącu na kwitach nauczycielskich ciągłą czynność, moralne prowadzenie ich zamieszczali — a nie złożony z podobnymi uwagami kwitów, pensje nie mogą być im wypłacane”.

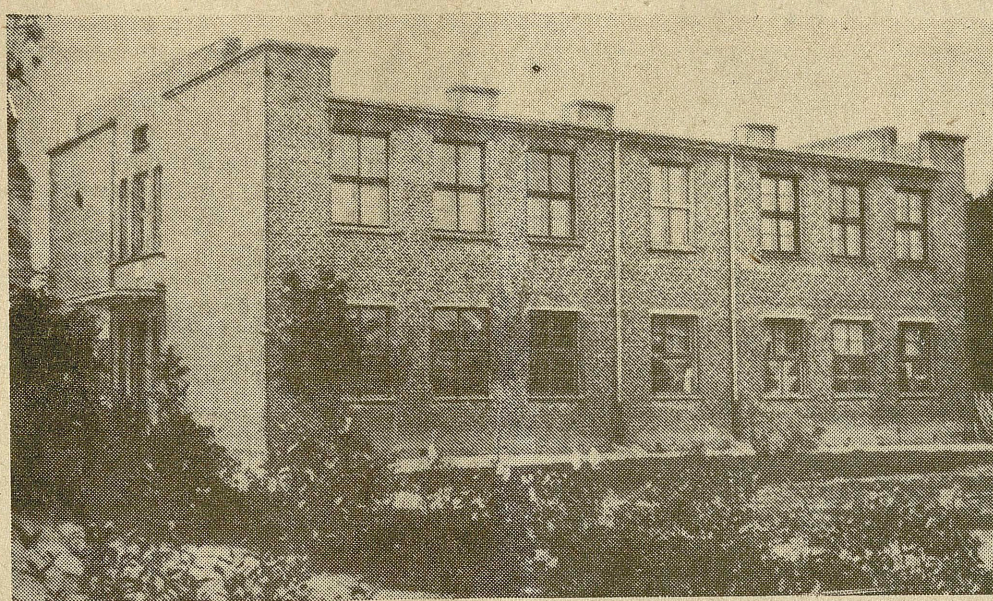
Nie trzeba komentować. Okólnik ten wystarcza, żeby zrozumieć, że Ksiądz Proboszcz nauczyciela miał w garści, a szkołkę reformował tak, jak sobie tego życzył. To też konflikt między Wielmożnym Opiekunem a nauczycielem Franciszkiem Trubaszkiem skończył się tak, że Trubaszek musiał z Głuchowa wyjechać.

## POD CZARNYM KLOSZEM

I nie mogło się skończyć inaczej. Bo Głuchów już od czasów swoich historycznych narodzin został szczególnie przykryty mrocznym, czarnym kloszem księżej władzy. Pierwszą historyczną wzmiankę o Głuchowie spotykamy w kronice Długosza. Oto w tomie II tej Kroniki, na stronie 389 czytamy, że w roku 1136 dobra Głuchów (nazywane wtedy Sochowo) wpisane zostały w rejestr majątków Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, gdyż Konrad Mazowiecki za zaborstwo Wojewody Krystyna, wraz z Łowiczem i innymi wsiami darował Arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu. i Głuchów (Sochowo) — z dziesięcinami, mieszkającymi i prawem wyłącznego sądu nad nimi. W tymże 1136 roku papież Innocenty II przyznał Głuchów (Sochowo) do Arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego potwierdza.

Klosz tej księżej władzy ciążył na życiu Głuchowa przez szereg stuleci i dopiero w ostatnich czasach i to wyjątkowo jeno spod klosza tego wyzwolić się udało. Okazuje się z opowiadań Głuchowiaków, że w okresie międzywojennym, a więc około połowy dwudziestego wieku, na porządku dziennym były tu zjawiska, które nie wiele odbiegły od „Świętej Inkwizycji”. Ale muszę ograniczyć się do najłagodniejszych z nich, bo te akurat łączą się z tematem.

Na przykład. Był tu (i do dzisiaj pozostał) zwyczaj, że, tak dzieci jak i dorośli, tak młodzi jak i starzy, tak kobiety jak i mężczyźni całują księdza w rękę. Jeden z młodych chłopców głuchowskich wyrwał się jakimś cudem do gimnazjum w Skierniewicach. Po paru latach nauki i życia w mieście, spotkawszy się w czasie wakacji z głuchowskim proboszczem przywitał go z szacunkiem, ale — w rękę nie pocałował. Natychmiast na gimnazjalistę spadły grzoty potępienia z ambony, „pod adresem „najmilszych” parafian — płośnie ostrzeżenia i gorące zaklęcia, aby dzieci swoich, jeżeli im i sobie Nieba życzą, do szkół nie oddawali. Mało tego. Ksiądz „dobrodziej” zwrócił się do Dyrektora Gimnazjum z żądaniem, aby „wyrodka tego” ze szkoły wyrzucił i — o dziwo — chłopak ten, mimo że był świetnym uczniem, ze gimnazjum został usunięty. Ale nie załamał się,



Szkoła głuchowska

nie przestraszył, nie wrócił pod klosz, jak inni. Poszedł w świat — jak najdalej od „dobrodzieja”. Tułał się, męczył jak wygnańca, ale skończył gimnazjum, potem medycynę i obecnie jest znanym lekarzem w Stoliczce.

Kiedysindziej znów ksiądz „dobrodziej” domagał się, aby matka odebrała swojego syna ze szkoły przemysłowej z Łodzi, bo tam podobno religii mieli nie uczyć. Więc w przemysłowym liceum powinno się religię studiować, a gdzie w takim razie przemysł? — pewnie w seminarium duchownym lub na wydziale teologicznym?...

Na karcie 27 wspomnianej wyżej kroniki szkolnej, pod datą: 14. II. 1938 r. opisany jest konflikt między nauczycielstwem a byłym proboszczem głuchowskim — nauczycielem religii w tej szkole. Mianowicie Ksiądz Proboszcz, czując się pewnie ciągle „Wielmożnym Opiekunem”, zarzucił nauczycielstwu komunizowanie. Tym razem jednak nie wykończył kierownika szkoły tak, jak 80 lat temu poprzednik jego Franciszka Trubaszka, ale na dwu stronicach kroniki poświęconych tej sprawie, czytamy, że kierownik szkoły tłumaczył się musiał nie mniej niż tamten przed 80 laty.

Czego dowodzi przytoczone przykłady? Oto chodziło o utrzymanie parafian w ciemności, bo to gwarantowało panowanie księży nad wsią.

## OD 30 DO 300

A jakich był skutków tego ciągłego, usilnego odzeganiania wsi od oświaty? Owszem — dość długo „pozytywny”. Przyjrzyjmy się tylko choćby paru liczbom. A trzeba przy tym pamiętać, że szkoła głuchowska obejmowała wtedy swoim zasięgiem i te wsie, które dzisiaj mają już szkoły u siebie.

W roku 1815 do szkoły głuchowskiej chodziło 25 dzieci, w r. 1858 — 37, w r. 1900 — 58, w r. 1914 — 73.

I dotąd Wielmożny Opiekun był chyba zadowolony, bo do szkoły chodziło co dziesiąty, przystość dzieci w szkole był mniejszy od przystość naturalnego, a szkoła i nauczyciel, zgodnie ze świętą tradycją, znajdowali się pod jego „bacznością”.

Ale odtąd sprawa zaczęła się trochę „komplikować”.

## Liczba dzieci w poszczególnych klasach

| Rok  | I  | II | III | IV | V  | VI | VII | Raz. |
|------|----|----|-----|----|----|----|-----|------|
| 1920 | 94 | 51 | 61  | 26 | 10 | 2  | —   | 244  |
| 1922 | 61 | 86 | 59  | 25 | 29 | 5  | —   | 269  |
| 1926 | 45 | 52 | 56  | 52 | 34 | 22 | 4   | 265  |
| 1936 | 45 | 49 | 52  | 45 | 47 | 36 | 22  | 296  |

Jeszcze co prawda w tym 1936 roku jest w Głuchowie kłopot z lokalem szkolnym — nowa szkoła była tylko w połowie zdana do użytku, tak, że część dzieci musiała się uczyć w tak zwanej Starej Szkole, która była zupełnie rudera. Ale już dni tego kłopotu były policzone, bo do wykończenia nowej szkoły miejscowy Komitet Budowy, z wielkim działaczem ludowym Marcinem Wasilewskim na czele, przystąpił z całym rozmachem.

Ale zamknijmy tymczasem tę Kronikę Szkolną, to świadectwo chmurnej przeszłości i przyjrzyjmy się, chociaż z grubsza temu,

## CO I JAK JEST DZISIAJ?

Po starej, słomą krytej rudzie nie ma ani śladu.

Oto stoi duży, piętrowy gmach z czerwonej cegły, obok olbrzymie, równe boisko sportowe, a wszystko ogrodzone siatką upiętą na żelaznych słupkach. Wzdłuż siatki zieleni się równa ściana gęsty, strzyżony „akacyjny żywopłot”.

Wejdzmy do środka — szerokie korytarze, a po obu stronach sale szkolne: duże, wysokie, jasne, z białymi, kafłowymi pieciami. W jednych klasach są ławki szkolne, w innych zamiast ławek, piękne, dwuosobowe stoliki i krzesła — nabytek już powojenny.

Pomoc naukowa już nie te i nie takie, jak za czasów Franciszka Trubaszki — katechizm, bajki Rodziszewskiego czy Żywot Pana Jezusa. Znacząco, że w te pomoce to już nie Wielmożny Opiekun zaopatrywał szkołę. Oto biblioteka szkolna liczy ponad tysiąc tomów: zaś inwentarz (spis) pomocy do nauki matematycznej — przyrodniczych liczy kilkadziesiąt pozycji. Poza tym — sala do nauki robót z narzędziami i sześcioma pięknymi warsztatami stolarskimi, sprzęt sportowy, spółdzielnia uczniowska, apteczka Szkolnego Czerwonego Krzyża i t. d.

Uczniów jest trzy i pół setki, a w klasie

siódmej i ósmej — równo dziewięćdziesiąt. W związku z reorganizacją szkolnictwa (skasowanie klasy ósmej w szkołach powszechnych) uczniowie obu tych klas szkołę muszą opuścić.

Idę do nich. Jedną godzinę jestem w klasie ósmej, drugą — w klasie siódmej. I u jednych i u drugich przez pierwsze pół godziny siedziałem na uboczu, i tylko dyktownie przyglądałem się i przysłuchiwałem — żeby nie nie sugerować, żeby postawić jak najtrafniejszą diagnozę: nie tyle o ich wiedzy, bo z tym jeszcze w żadnej szkole dobrze chyba nie jest, ile o ich sposobach myślenia i rozumowania, oraz o ich pragnieniach co do przyszłości. Obserwacje te dają niezmiernie ciekawy i ważki materiał.

Gdy w pewnym momencie, od niechcenia, zadaje pytanie: kto z was chciałby uczyć się dalej?... ręce podnieśli wszyscy. A kto z was będzie uczył się dalej? Podniosło ręce tylko kilkoro. Reszta opuściła głowy.

Skrzywdziły mocno — nie tyle mnie ile tych uczniów — ten, kto by w tym miejscu posadził autora artykułu o jakiejś poetyckiej egzaltacji. Na to patrzyłem jak badacz, a nie jak poeta.

Więc dlaczegoż to uczyć się dalej — chcą wszyscy a będą — tylko niektórzy?

Przed wszystkim dlatego, że chcą się dalej uczyć trzeba z Głuchowa odejść, a odejść może niewiele, bo albo rodzice biedni, albo i nie biedni, ale „mogłoby tam w nowym świecie dziecko duszę zagubić”, albo...

Ale to wszystko mniej ważne. Ważne i pilne jest przede wszystkim to, że tych 90-cioro nie będzie się uczyć dalej nie z własnej woli. Ważne jest to, że uczyliby się oni wszyscy, a prócz nich co najmniej drugie tyle z sąsiednich szkół 7-mioklasowych, gdyby szkoła głuchowska miała następnie wyższe klasy.

I dzisiaj właśnie, kiedy się ustala stać szkół jedenastoletnich, wydaje się, że tak punkt, jak Głuchów, powinien być konieczne wzięty pod uwagę z wielu względów. W skrócie względy te są podane w prośbie społeczeństwa gminy głuchowskiej, do której przysłało się też społeczeństwo gminy Żelechlinek — już z sąsiedniego powiatu rawsko-mazowieckiego.

## DO SWEGO PREMIERA

Z prośbą tą zwrócili się Głuchowiacy do: Inspektora Szkolnego w Skierniewicach. Kuratorium Szkolnego Okręgu Łódzkiego, Zarządu Głównego ZNP, w Warszawie i jeszcze tam gdzieś, a wreszcie nawet do V-Premiera Rządu RP. Ob. Antoniego Korzyckiego, — do swego, jak mówią, Premiera.

Oto ona:

„Do

Obywatela Antoniego Korzyckiego  
V-Premiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej  
w Warszawie

My niżej podpisani, działając z upoważnienia i na prośbę całej ludności gminy Głuchów i wszystkich partyj, instytucyj i organizacyj tej gminy, zwracamy się do Obywatela Premiera, jako przywódcy chłopów Rzeczypospolitej Polskiej, z gorącą prośbą o spowodowanie, aby w Głuchowie (pow. Skierniewice) została zorganizowana szkoła jedenastoletnia — rozwijająca.

Motywy prośby naszej są następujące:

1. W związku z reorganizacją szkolnictwa, na terenie naszego powiatu przewidziane są 4-ry szkoły jedenastoletnie, w tym dwie dla miasta Skierniewice i tylko dwie dla wszystkich wsi tego powiatu (w Godzianowie i w Puszczy Mariańskiej). Te dwie szkoły nie pomieszczą wszystkich tej młodzieży naszego powiatu, która pochodzi ze wsi i po ukończeniu 7-mioklasowej szkoły powszechnej pragnie uczyć się dalej — w kierunku ogólnokształcącym.

2. W Głuchowie i okolicznych wioskach jest szczególnie nasilenie młodzieży, która chce się kształcić. Ze względu na dużą odległość od szkół średnich (Skierniewice — 22 kilometry, Godzianów — 17 km), co zwiększa koszt kształcenia się, wielu, zwłaszcza niezamożnych, rezygnować musi z dalszej nauki.

3. W samej tylko Szkole Powszechnej w Głuchowie jest w tej chwili w klasie VII-ej i VIII-ej — 90 dzieci. Gdy dołączymy

jeszcze tylko najbliższe 7-mioklasowe szkoły powszechne, liczba ta kilkakrotnie się zwiększy.

4. Głuchów leży na styku powiatów: rawsko-mazowieckiego, brzezińskiego i skierniewickiego. Toteż szkoła jedenastoletnia w Głuchowie służyłaby dla tych trzech powiatów — dla tych wiosek, które leżą blisko Głuchowa, a daleko od swoich miast powiatowych. Zresztą do Szkoły Głuchowskiej, zwłaszcza do klasy VII-ej i VIII-ej uczęszczają dzieci z powiatu rawsko-mazowieckiego i brzezińskiego już od szeregu lat, gdyż do Głuchowa mają bliżej, niż do szkół w swoich powiatach.

5. Tu, w tym zakątku, szkoła jedenastoletnia jest szczególnie potrzebna. Spełniałaby ona u nas nie tylko rolę samego nauczania, byłaby tu ona, wspólnie z naszym Uniwersyteciem Ludowym, ogniskiem postępu i kuźnią najmłodszego pokolenia chłopskiego, wychowującą młodzież naszą dla demokracji ludowej.

To też gorąco prosimy Obywatela Premiera o spowodowanie, aby w szkole naszej nie została zwinęta klasa VIII-ma, ponadto, aby została dodana klasa IX-ta. Byłaby to więc szkoła jedenastoletnia rozwijająca: w roku szkolnym 1948/49 miałaby klas 9, w roku szkolnym 1949/50 — klas 10, zaś od roku szkolnego 1950/51 — pełnych klas jedenastych.

Sal wykładowych dla szkoły dziewięcioklasowej w naszym gmachu szkolnym wystarczy, tak że nie zachodzi potrzeba prowadzenia nauki po południu. A z chwilą zaplanowania u nas szkoły jedenastoletniej przystąpimy do rozbudowy tego gmachu tak, aby do czasu rozwinięcia się pełnej szkoły jedenastoletniej, było już dla niej odpowiednie pomieszczenie. Potrzebny sprzęt szkolny i pomoce naukowe gotowi jesteśmy ufundować natychmiast.

W tej chwili Zarząd Gminy w Głuchowie rozpoczyna tu budowę gmachu na mieszkanie dla nauczycieli — materiał budowlany jest już na placu. Do chwili ukończenia budowy tego domu zobowiązujemy się dostarczyć potrzebną ilość odpowiednich mieszkań dla nauczycieli w domach prywatnych.

Ludność okolicznych wsi zdecydowana jest kolejno dowozić uczniów do Głuchowa (z dalszych wsi), niektóre zaś wsie będą mogły korzystać z kolejki wąskotorowej Rogów — Rawa, która przechodzi przez Głuchów, lub z autobusów, które systematycznie kursują na linii Łódź — Rawa i mają stałe przystanki w Głuchowie.

Niezależnie od tego gotowi jesteśmy zorganizować w Głuchowie internat dla uczniów z dalszych wiosek.

W związku z ewentualnym uruchomieniem u nas klasy dziewiętej w roku szk. 1948/49, chcielibyśmy jak najrychlej przystąpić do jej urządzenia i zaopatrzenia w odpowiedni sprzęt tak, aby z końcem sierpnia br. było już wszystko gotowe. Dlatego też uprzejmie prosimy Obywatela Premiera o łaskawe rozpatrzenie prośby naszej, jeżeli to możliwe, w trybie sprawy bardzo pilnej i przesłanie decyzji na adres: Zarząd Gminnego Koła Stronnictwa Ludowego w Głuchowie, powiat Skierniewice.” (podpisy).

Wydałem mi się, że i motywy prośby głuchowskiej są aż nadto wystarczające i postawa społeczeństwa twórcza i co bardzo ważne, warunki rzeczowe do zorganizowania tej szkoły są, tak, że wysiłek finansowy Państwa, w związku z pozostawieniem na rok przyszły istniejącej już tu klasy VIII-ej i dodaniem tylko jednej klasy, to jest IX-ej, będzie stosunkowo niewielki.

A kiedy zwróciłem uwagę, że przecież szkoła jedenastoletnia daje wykształcenie ogólne, że nie przygotowuje bezpośrednio do żadnego zawodu, nie uczy rzemiosła, że przecież praktycznie jest po ukończeniu szkoły 7-mioklasowej oddać dziecko do jakiejś szkoły zawodowej — szybko mi o dostanie konkretnych fachów do ręki — to Głuchowiacy mnie na to mniej więcej tak: toć nie poto prosimy o szkołę jedenastoletnią, żeby nasze dzieci na jakichś „dumacy” uczyć jeno poto, żeby z nich właśnie fachowcy byli, ale fachowcy rozumni i, co najważniejsze, miłujący swoje rzemiosło. Ale umiowanie rzemiosła jest tylko wtedy, kiedy człowiek wybierze sobie to, co mu najbardziej pasuje i kiedy wybierze sobie sam. A czyż 13-14 letnie dziecko jasno już wie, co w życiu najlepiej potrafi i czego chce? Nie, przeważnie jeszcze nie. Kiedy będzie ono miało już lat 18 i wykształcenie średnie do tego, o — wtedy będzie wiedziało czego chce i co potrafi. Pewnie, że i w takim wieku może być pomyłka, może nie trafić na swoje, ale wśród tych 18-letnich tego rodzaju pomyłki bywają pewnie rzadsze.

To też, żegnając szkołę głuchowską niecierpliwym się z powodu braku odpowiedzi na wysłane podania Głuchowiakom (rodzicom i uczniom) musiałem powiedzieć, że: moim zdaniem nie powinni się niepokoić, że, moim zdaniem, prośba ich zostanie załatwiona pozytywnie i to mimo, że Państwo nasze znajduje się w niezmiernie trudnych warunkach finansowych, mimo, że zorganizowanie i utrzymanie szkoły jedenastoletniej wymaga olbrzymiego kapitału i nie stać Państwa na to, żeby się ich od razu zrobić gęstą.

Tak im odpowiedziałem, bo tak to jest moje zdanie.

Tak im odpowiedziałem i dlatego, że przecież chciałem stąd wyjść cało, a gdybym powiedział inaczej, wywieźliby mnie Głuchowiacy czarnymi wołami poza swoją wieś, tak jak to, stosunkowo niedawno, wywieźli chłopci ze sąsiednich Lipiec — Jagnę Borynową.



Tadeusz Rokitniak

## Z notatnika wakacyjnego

## EKSPOZYCJA

Wieś, o której mowa, zwie się Małyń. Należy do gminy Krokocice. Położona malowniczo w dolinie Neru i Pisi na granicy trzech powiatów: łódzkiego, łaskiego i sieradzkiego. Odległość od Łodzi 28 km. Praktyka życiowa cyfrę tę jednak redukuje do 12, gdyż tyle wynosi odległość od łódzkiej krawcówki tramwajowej. Wieś tzw. średnio-zamożna; 30% gospodarstw ponad 6 ha, wahanie w dół raczej nieznaczne. Spory procent murowanych domków, zauważalny ruch budowlany, pięć sklepów (1 Samopomocy), efektownie wyglądająca szkoła powszechna, agencja pocztowa. Od roku 1926 wieś prymitywnie zelektryfikowana przez miejscowego młynarza, potentata ekonomicznego wsi, i dziś jeszcze nieomal dyktatora. Ród młynarszowy od 100 lat dominował nad wsią i skutecznie rywalizował znaczeniem i stanem majątkowym z dworem. Opłata za światło inkasowana jest po-pańszczyźnianym systemem „odrobki”.

## KIERUNEK INWESTYCJI

Komitet parafialny, ekspozytura prawna ambitego proboszcza, ozdobił kosztem 1,5 miliona — całą wieś opodatkowała się wysoko — oddawna całkowicie wyposażony kościół ekspresjonistycznymi ornamentami ścian, wyrazistymi, w swej abstrakcyjności — dzieło art. mal. Mroza. Obecnie buri się mur dookoła cmentarza, który wymagał tylko częściowej naprawy i stawia nowy. Kosztorys opiewa na blisko dwa miliony. Połączenie wsi z Łodzią fatalne: brak kilkukilometrowych odnóg do dwóch pobliskich szos — płachy, miejscami naszpikowane humorystycznymi grzedami kamieniami, a przecież stosunkowo łatwa do zrealizowania budowa trzykilometrowej wypustki do szosy, wprowadziłaby do Małyńia stałą komunikację samochodową m. in. P.K.S. Łatwy transport do Łodzi umożliwiłby częściowe przejście na wysocę opłacalną w pobliżu wielkiego miasta produkcję ogrodnictwa-warzywniczą. Jednakże pobożni parafianie problemu tego zdają się nie dostrzegać. — Ekspresjonistyczne bohemy nad nawami są tu nierównie konieczniejsze. Gdy nogi zdrowe i tak przecież gdzie się z tłumoczką do tramwaju za niecałe trzy godziny.

## GAZETA NIE NA KIESZEŃ MAŁYŃIA

Ten „idealizm” Małyńia posiada zakres jednak trochę wąski. Agentka poczty pokazuje mi z zażenowaniem listę radioodbiorników i prenumeratów prasy: poza księdzem, młynarzem i felcezerem, jeden posiadacz radioodbiornika.

## Pisma prenumerują:

„Przyjaciół” — jedna osoba  
„Przyjaciółka” — jedenaście  
„Moda i Życie” — trzy.

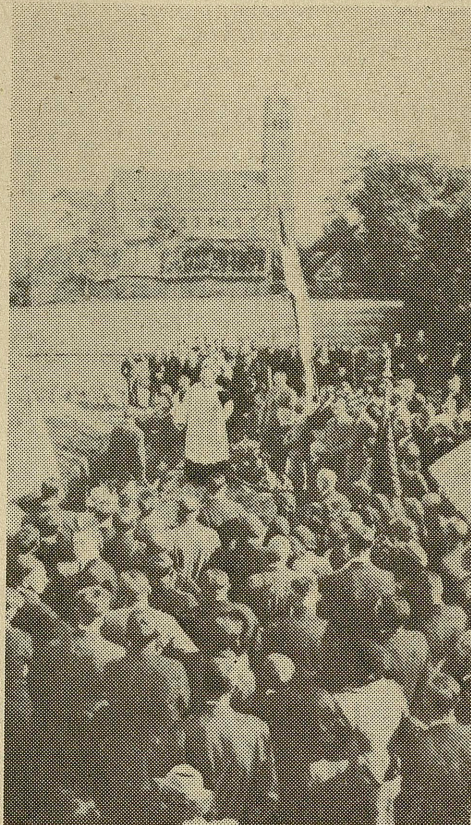
Bloczki prasy codziennej, pism społeczno-politycznych i kulturalnych — puste. Brak amatorów. Dostrzegam jeszcze suchotniczy rulonik „Chłopskiej Drogi” dla jakichś niezauważalnych członków PPR-u.

Agentka tłumaczy, że wielokrotnie próbowała zachęcać za każdym razem jednak spotykała się z argumentem, że prenumerata jest zbyt droga (!). Popularność „Przyjaciół” tłumaczy niezwykłą taniością i patre- niem przez palce ze strony administracji na niewypłacalnych prenumeratów. „Moda i Życie” jest tu bardzo ceniona za praktyczne artykuły. Argument „drożyzny” jakby żywym przeniesiony z jakubkowskiego mitu o Naprawie. Nie jest jak widać z tego, co wyżej napisałem, najściślejszy. W najbliższą niedzielę w popularnego Barugi — sklep zaopatrzony oficjalnie w „napoje pierwszej potrzeby” — moi rozmówcy, którzy przywędrowali tu właśnie z zebrania komitetu parafialnego, odpowiedzieli szczerzej i wyraziściej: „I tak człowiek skosi i zwiezie i tak”. Właśnie są żniwa, a w czasie żniw jak wiadomo, kosi się i zwozi. Wieś nie posiada biblioteki. Mało! poza dziecinny elementarzem i ksiądzeczkami do rachunków nie udało mi się dostrzec właściwie żadnej książki. Do dziś jeszcze traktuje się poważnie jedynie niższe oddziały szkoły podstawowej. Gospodyni, u której zatrzymałem się — jedna z poważniejszych osobistości w Małyńiu — zwierza się z zamiaru „wypisanie ze szkół” dwojga swych dzieci od września — skończyły bowiem 6 oddziałów. Edukacja wystarczająca. Potrzebne są do roboty. Rola wystarczającego informatora o świecie spełnia nadal ambona. Proboszcz poinformował w czasie ostatniej sumy o istnieniu państwa żydowskiego, poczem cytami z pisma świętego udowodnił jego niechybną, uwarunkowaną przekleństwem metafizycznym zagładę.

## W KRAINIE „BALLAD I ROMANSÓW”

W cieniu kościoła gotyckiego, pod turkotem młyna rozciąga się nieopodal efektownej szkoły powszechnej, o 28 km od Łodzi, bynajmniej jeszcze nie w stanie zaniku sfera kulturalna magnetycznego rozumienia świata.

Jedna z inteligentniejszych gospodyń dopuściła mnie i żonę do nowonarodzonych prosiąt dopiero po wzięciu uroczystego zobowiązania, iż przy wejściu do chlewa spojrzymy najpierw w pewien skomplikowany sposób na własne paznokcie, aby zapobiec niebezpieczeństwu mimowolnego urzeknięcia. Ułubione tematy wiejskich wieczorów niedzielnych też same, jak w latach narodzin „Ballad i romansów” — nie przesadzam:



Poświęcenie kamienia węgielnego pod organizację w Małyńiu (r. 1937)

- 1) Niezbite dowody istnienia czarownic — podbieraczek mleka.
- 2) Liczne dowody wyższości znachorów nad lekarzami łódzkimi (może i słusznie).
- 3) Złowieszcza moc, jaką posiada zagrożona przez zemstę za stodołą upatrzonej ofiary kosa z cmentarza: „tego natychmiast choroba wyłamie”. Pewien nieżyjący już owczarz, sąsiad mego rozmówcy, używał w tym celu obrzytów z ciałek nienarodzonych dzieci, wyprutych na cmentarzu z łona umarłych przed potopem matek.

## „MODA I ŻYCIE”

Postawienie w tym miejscu kropki byłoby jednak stwarzaniem nowej ballady — sugerowaniem mitu o jakimś ahisterycznym reymontowskim rezerwacie wsi „pierwotnej”. Stale kulturowo oddziaływują kontakty handlowe i rodzinno-towarzyskie z drobnomieszczaństwem łódzkim. Łatwo uchwytne efekty tego kontaktu — to fonetycznie niemiaganna polszczyzna, z typowymi dla Łodzi rusycyzmami i germanizmami, swobodne miejskie obejście, mieszczkańskie zadowolenie z siebie, instytucja rodzinnego albumu z fotografiami, oprawionego w adamaszek, z mosiężnymi klamkami i, w symbolizacji z rodzinnymi zainteresowaniami, cudownościowo-demonologicznymi, wrażliwość na „echa miejskie” — katastrofa tramwajowa, zatopienie się motorówki z harcerkami, zbrodnia teściowej i... wszystko.

Trzy młode kandydatki na awans społeczny do drobnomieszczaństwa czytają z zacięciem „praktyczne” pismo „Moda i Życie”.

## STRAŻ POŻARNA

W cieniu wieży gotyckiej, przy turkotach młyna, o 28 km od miasta słynnego instytucjami społecznymi i naukowymi, spią jeszcze, oby krótko, świadomość polityczna, zainteresowanie się współczesną rzeczywistością, światem, szersze zainteresowania kulturą, intelektualną. Nie widać jeszcze na tym terenie żywej instytucji, która by energicznie brała się do rzeczy. Stan ten jest niewątpliwie chwilowy. Kilku rozproszonych na terenie wsi członków PPR-u niemal nie widać. Przy gminie istnieje podobno Stronnictwo Ludowe. Wspominał mi o tym podczas wywiadu, nie umiejąc nic dalej powiedzieć na ten temat, „rezolutny” sołtys, który gdy mu cierpliwie tłumaczyłem przez pół godziny, komu zacy i poco przychodzi, pojął wreszcie że jestem... deputatem z sąsiedniej gminy, wysłanym tu celem pertraktacji w sprawie pewnych zmian terytorialnych na pogranicznym pastwisku. Samopomoc na ogół ogranicza swą działalność do nęże prowadzonego uniwersalnego sklepu. Najpopularniejszą, poza komitetem parafialnym instytucją jest straż pożarna — właścicielka dzielnych beczkowozów.

## ROZCZNICA PKWN-u I ODPUST

Dziś czwarta rocznica ogłoszenia manifestu PKWN-u. Święci ją Małyń wywieszeniem sporadycznie miniaturowych kilkunastocentymetrowych quasi — sztandarów (wiadomo nawet gazeta nie na kieszeń Małyńia) i zamknięciem dla niewtajemniczonych sklepu Barugi. Żadnego zainteresowania istotą święta, uroczystego nastroju wewnętrznego, żadnej imprezy patriotycznej, odczytu. Nie wynika to bynajmniej z jakiejś określonej niechęci ideologicznej. Poprostu nie ma tego rodzaju tradycji. Raz jeden miała tu miejscopodobna akademia okolicznościowa: przed 9-ciu laty. Od szeregu niedziel wieś żyje, poza żniwami, nadchodzącym odpustem, rozgórzkowaniem wzrasta.

Małyń, 8. VII. 48 r.

Jerzy Fałenciak

## Rezerwaty

Najpierw wstęp do recenzji. Nowele Sienkiewicza „Janko Murzykant”, „Jamioł”, „Organista z Ponikły”, a nawet „Bartek Zwycięzca” nie dowodzą mniejszego dystansu między chłopką wsią i autorem niż odległość między nim a Indianami, opisywanymi w „Listach z Ameryki”. To samo w „Antku” Bolesława Prusa, kapitalnej noweli, której bohater wypada w związku z chłopskim środowiskiem nie mniej abstrakcyjnie niż byłby to na przykład związek z ludem = demosem w „Faraonie”. Owego błędu w postrzeganiu chłopcy — i robotnika, gdy się pokazywał — nie poprawiały binokle pozytywizmu.

Sienkiewicz i Prus nie patrzyli inaczej na masę chłopką niż z perspektywy dworkowego ganku albo pisarskiego gabinetu w secesyjnej kamienicy warszawskiej. I przez to chłopka wieś wywoływała fałszywy pozór idyllicznego rezerwatu w miejsce przymusowego ghettta klasowego.

Dopiero na tle tej dziesiątoplekowej dekoracji grały solo, sprawy i problemy jednostki chłopskiej, bieda, zmarnowane talenty i okazy, niedościgłe szanse. Sienkiewiczowska i prusowska koncepcja społecznego chłopstwa nie dorasta do skali zagadnienia murzynskiego w beletrystyce amerykańskiej. Licząc nawet od „Chaty wujka Toma”.

Rezerwat — rozumie się ludzki — to też ghetto, tyle tylko, że oglądane z daleka. Ghetto w sferze stosunków zewnętrznych jest ostrym problemem, rezerwat — estetycznym tematem. Obserwując od wewnątrz — nie ma między jednym i drugim różnicy. Na złudzeniu takiej różnicy polega uprzedzenie, że murzyński Haarlem stanowi ghetto typowe, a szczyt Indian w National Park wyobraża rezerwat jako coś całkiem odmiennego.

Niewiele uzasadnia w tym uprzedzeniu fakt, że amerykańscy Negrzy, chociaż pochodzą z pochwytych w Afryce niewolników, głoszą już dzisiaj hasła polityczne i społeczne (może nie tyle hasła, ile błagania pod adresem Białego Domu), a chronieni specjalną ustawą Indianie niczego nie żądają i niewiele pragną. Prawda, że z licznej ongiś i wojowniczej rasy stał się czerwono-skórzy samorządny i zrzeszony trup widowiskowych i renomowanej sławie. Cecha narodowości przemienia się w zawód, w sposób zarabkowania drogą małpich niemal przedstawień w sezonie turystyki.

Byłoby coś podobnego, gdyby skrzyżowało się jakoś węgierskich Cyganów z zakopiańskimi góralami.

Czarni Amerykanie mówią już i piszą o sobie, zdobyli przyjaźnię i poważne zainteresowanie innych. Czerwono-skórzy są zaledwie obiektem dla fotografa i filmu. Nie wydali indiańskiego trybuna ani przywódcy od czasu Sitting Bulla (taki indiański Spartakus), nie doczekają się rzecznika z zewnątrz, stracili firmowaną przez Coopera godność. I nigdy już pewnie nie będzie zagadnienia indiańskiego, ich dekadencja pozostanie aż po wymarcie ich własną sprawą, wartą co najwyżej reportażu na wesoło. Lecz nie jest to „diffrentia specifica” między ghetttem indiańskim i murzyńskim. Indianie bowiem nie potrafili tylko i nie potrafili wyrównać skąpości swej liczby jakością swej społeczności — tak jak cyganie zresztą. Zatem minimalna, marginesowa problematyka ich ghettta i dalej — rezerwat zdaniem patrzącego z ubocza.

Henryk Sienkiewicz podróżując po Stanach Zjednoczonych w siedemdziesiątych latach zeszłego stulecia zaciekał się Indianami, Negrami mniej. Ich wyzwolenie z niewolnictwa w 1865 roku, ta „murzyńska reforma rolna” południowych stanów, nie nastąpiła mu żadnych porównań ani refleksyj. Wyniósł za to stamtąd pomysł „Za chlebem”, rzeczy wprawdzie wiernie w wyrażeniu charakteru ówczesnej emigracji chłopskiej z Polski, masowej i solidarnej. Identyfikację błędnej impresji uległa Konopnicka w „Panu Balcerze” i — interesując — w tym samym kolorystyce utrzymał Conrad dziwna opowieść pt. „Rozbitek”, której bohater Hucul między Anglikami wypada tak bardzo „alla polacca”, zwłaszcza dla polskiego czytelnika.

Repulsywnie przeżył twórca Sienkiewicza odbicie w noweli „Za chlebem” oraz Konopnickiej w poemacie „Pan Balcer w Brzytli” dopiero utwierdzała nas w pewności, jak pełen atrakcji i różowej barwy był dla tych dwojga pisarzy widok wsi chłopskiej w kraju, a emigracja chłopska nieczym innym, jak tylko fatalistycznym exodusem chłopstwa, zaagitowanego przez agentów hamburskich towarzystw żeglugowych. Ale fikcją jest nomadizm tej emigracji i fikcją też koncepcja krajowego rezerwatu chłopskiego, oderwanego od dziejów i spraw opisywanych bohaterów.

O takie literackie konstruowanie dawniejszej chłopskiej problematyki nikt dziś nie ma pretensji, ale powstaje kwestia, ile pozostało z Sienkiewicza, Prusa, Konopnickiej, Reymonta w nowoczesnej prozie chłopskiej. I czy nie za dużo.

„Cierpi owoc” Józefa Pogana składa się z dwunastu nowel... oddających sprawiedliwość chłopskiemu światu — już na nowszą, lecz nie najnowsza modłę.

Należy je podzielić na dwie części, z których pierwsza tematycznie obejmuje epokę od czasów pańszczyźnianych do ostatniej wojny, a druga od tej wojny aż po dni dzisiejsze. Zda-

\*) Józef Pogan: Cierpi owoc. Nowele i opowiadania. Nakł. Spółd. Wzd. „Książka”. Warszawa 1948. — Józef Pogan: Klucz bożej Klementyny. Nakł. Spółd. Wzd. „Książka”. Warszawa 1948.

niem moim częścią pierwsza stoi wyżej od drugiej i to pod względem nie tylko literackim. Nie jest mým zamiarem poprawianie twórczości Pogana, która ma ustalony walor, daleko poza kręgiem czytającej wsi. Jego opowiadanie pt. „Służba” jest szczytem mistrzostwa w trudnej sztuce „short story”. Nowela „Niedoleżne małżeństwo” będzie znów świadectwem socjologicznych talentów autora. Zdanie, które sobie tu stawiam, polega na stwierdzeniu, możliwie najbardziej obiektywnym, że twórczość Józefa Pogana, zwłaszcza w odniesieniu do ostatnich rzeczy holduje ponad miarę wzorom przeszłości, przeciw przykładom teraźniejszości.

Byłoby niestosowna krytyka, gdybym np. zarzucił Poganiowi eklektyzm literacki w całej pełni, poprusowski i posienkiewiczowski, czy jaki tam. Trudno jednak oprzeć się sugestii, że szkic „Cierpi owoc” to uwznioślona reymontowszczyzna, a „Pod wspólnym dachem”, to znowu patriotyczna oda „na siłę” a la Żeromski itd. Niewątpliwie wiele w tym bezwiednego podziwu dla wczorajszej literatury, że szkoda właściwej autorowi inwencji społecznej oraz uwidocznionej przez niego problematyki.

I tak nowela „Niedoleżne małżeństwo” — nosi przez tradycyjność ekspozycji literackiej, właśnie piętno chłopskiego rezerwatu. Bolaćki rodziny Zdybów są tam nie do opłakiwania, nie do ochłoty. Niedola wydaje się osobliwością. Stary Zdyba idzie po przorszym chlebie „trochę przez niedoleżstwo, trochę przez ojca i matkę, że go niepotrzebnie ożenił, a do reszty przez pobożnego krzywdziela organistę (lichwiarza)”. Takich Zdybów jest w Polsce dużo. Bankrutują w sferze małego chłopskiego kapitalizmu, rządzącego się prawidłem interesu osobistego, tak, jak i kapitalizm wielki. Skazani na samodzielną produkcję i indywidualną inicjatywę gospodarczą nie są w stanie utrzymać się na poziomie gromady sumy chłopskich egoizmów.

W warunkach wsi spółdzielczej lub państwowej fabryki Zdyba, Zdybowa i ich dzieci okazaliby się najnormalniejszymi i przydatnymi gospodarzami pracownikami. Nie dawaliby okazji do śmiechu sąsiadom i unikneliby urazów podwrotności.

Ten tzw. realizm chłopskiej prozy znalazł się obecnie na niebezpiecznym zakręcie, zwłaszcza przy tak wielkim obciążeniu tradycjonalizmem co do formy i naturalizmem co do treści.

Był mit rezerwatu chłopskiego, ale nie było mitu rezerwatu robotniczego. „Nasza szkapka” nie wpływa więc na twórczość typu Wł. Rymkiewicza i innych podobnych (otrzą fragmenty „Merkury” i „Przeprowadzka” w ostatnich numerach „Kuzni”).

Dziesięć nowel Józefa Mortona zebranych w tomie „Klucz bożej Klementyny”, zawiera materiał treściowy bardzo różnego charakteru. Część ich („Klucz bożej Klementyny”, „Czarownice”, „Cacko odpustowe”) winna być opatrzona wyraźną klauzulą: „wszelkie prawa reprodukcyjne, przekładu i adaptacji zastrzeżone na wszystkie kraje”. Mogą bowiem skusić międzynarodowych agentów wydawniczych i tłumaczy, poszukujących twórczości w rodzaju skandynawskich sag, rosyjskich bylin i starofrancuskich ballad, obojętne czy oryginalnych czy dopiero dzisiaj stylizowanych i podrabianych. — Byłoby to oczywiście także „Légendes polonaises”, takie same jak tłumaczone kiedyś i wydane, przez złe rozumiejącą polski Mlle Suzanne Strowską, pod tytułami: „Histoire d'une jeune paysanne qui devint une grande dame” albo „Histoire de Bartek qui devint un célèbre docteur connu du monde entier”.

Porównując „Klucz bożej Klementyny” Mortona z „Cierpi owocem” Pogana spotyka się jedno przede wszystkim. Wcześniejsze, „przedwojenne” niejako nowele Pogana wyróżniają się problematyką bardziej ważką. Opowiadania Mortona z kategorii „Cacko odpustowe” nie wykazują znaczniejszej problemowości idąc raczej na artystystwo, kołtuję czytelnika egzotyką chłopskością. Chwyta to publiczność, zwłaszcza miejską przywykłą do tradycji właśnie chłopsko-rezerwatuowej, według recepty Sienkiewicza i Prusa, a ostatnio podbudowaną osadem powrotności fali agraryzmu.

W utworach o tematach z czasu wojny Morton dostarcza dobrych prób literackiej dokumentaryzacji, tematów już powojennych wydany zbiorów nie obejmuje. A byłoby może najbardziej interesujące porównać pod tym względem twórczość Mortona z twórczością Pogana. Zresztą na tym polu otwierają się nowe możliwości pisarskiej rywalizacji obydwu autorów, które na ogół biorą między nimi istnieje.

Wreszcie zakończenie recenzji. Stanisław Piętak, nie tak dawno nazwany przez kogós pisarzem chłopskim, bardzo energicznie zaprotestował. Rozumiem i wyczuwam dobre intencje w tym jego skrajnym stanowisku. Nie dowodzi ono jakiejś reneacji środowiskowej, a było to po prostu odruchem ambitnego i prawdziwego artysty o uświadomionych drogach własnego rozwoju. Można nosić miano pisarza chłopskiego, ale nie należy buńczucznie siebie samego tak nazywać. Będzie to bowiem wtedy dowodziło związku z twórczością w ogóle zaledwie przez temat, bez szansy na zbliżanie się do pisarskiej doskonałości.

Ten „kompleks Piętaka”, gdyby się odzyskał, niektórym literatom spod znaku Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Pol., mógłby mieć wpływ dobroczynny, chociażby pod względem ich możliwości rozwojowych na gruncie pi-



Maciej Koliba

# NOWE KRAJOZNAWSTWO

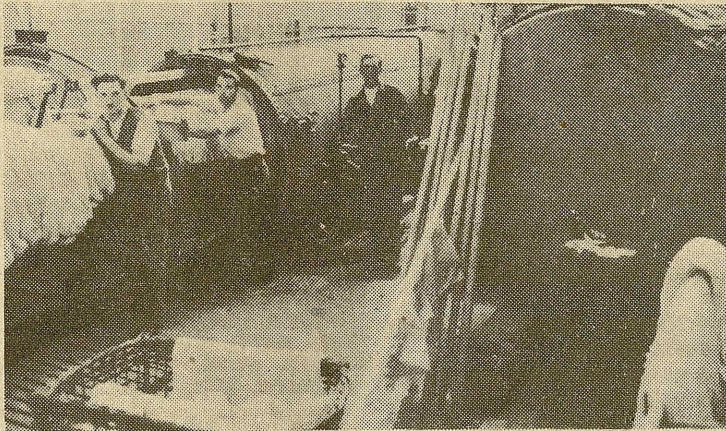
Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego zorganizował przed otwarciem Wystawy Ziem Odzyskanych cenną w założeniu imprezę. Zaprosił mianowicie dziennikarzy krajowych i zagranicznych do uczestnictwa w wycieczce, której zasadniczym celem miało być pokazanie przemysłu włókienniczego na Ziemiach Odzyskanych. Wycieczka trwała około dwunastu dni. Pod względem tak zwanych usług — komfortowych autokarów, staranna opieka nad uczestnikami — impreza była zorganizowana poprawnie.

Dziennikarzom kilkudniowy wspólny pobyt dał niewątpliwie dużo — nawiązanie kontaktów, wymiana poglądów, dzielenie się obserwacjami. Ta forma towarzyskiego zbliżenia ludzi określonego zawodu jest na pewno zapadająca. Jest to jednak sprawa peryferyczna. Problemem istotnym jest owocność samej imprezy w konsekwencjach pisarskich, w tym, jakie z kolei uczestnicy zdadzą relacje z tego co oglądali. Zostali powołani przez państwo do obejrzenia zakładów przemysłowych, nie było to towarzyskie, nieobowiązujące zaproszenie. Tego rodzaju przedsięwzięcie kosztuje duże pieniądze. Chodzi o to, żeby te pieniądze się dobrze zamortyzowały.

Wydaje mi się celowe zastanowić się nad tym, czy wszystkie warunki były spełnione, które by pozwoliły uczestnikom wycieczki w pełni się „wyplacić”. Sprawa warta jest przedyskutowania. Sądzę, że ten typ „krajoznaństwa” powinien być uprawiany. Pisarz powinien mieć pełne widzenie procesu odbudowy i rozbudowy naszego przemysłu — bazy gwarantującej narodowi ludzkie warunki bytu, bazy warunkującej społeczeństwu wzrost kulturalny. Oczekujemy dalszych zaproszeń od Przemysłu Hutniczego i Metalowego, od Zjednoczonych Węglowych, od Ministerstwa Rolnictwa.

Chodziłoby o to, ażeby tego rodzaju imprezy były tak pomyślane, by dały się w pełni zutilizować przez tych, dla których są robione.

Od wycieczki dzieli mnie miesiąc czasu, mam więc wobec niej dostateczny dystans, oglądam równie jej owoce, przeglądając kilkanaście reportaży, robionych przez uczestników „na gorąco”. Spośród tego mnóstwa materiału dużą niewątpliwie wartość miały wypowiedzi literatów. (Było ich stanowczo za mało). Jak dotąd poznałem reportaży Ryszarda Matuszewskiego w „Kuznici” i Stefana Kisielewskiego w „Tygodniku Powszechnym”. Pierwszy jest próbą spojrzenia na przemysł oczami humanisty, drugi interesująca, przekorna (z założenia) gawęda w stylu „liberala” Kisielewskiego, gawęda zbliżająca jednak czytelnika do problematyki Ziem Odzyskanych. Reszta materiału, który przejrzałem to typowa reportażka dziennikarska. Artykułki mają swój określony schemat, można by zawrzeć go w kilku punktach,



Państw. Zakł. Przem. Włn. nr. 22 w Stabłowicach, k/Wrocławia. Parownia przedzy

wszyscy zresztą dostatecznie dobrze ten typ „pisarstwa” znamy.

Dla czytelnika to jest „Bogiem a prawdą” niestrawne, nie potrafi go zemocjonować, nie potrafi go wciągnąć w sprawę. Poza reportażem dziennikarskim czytelnik nie widzi, nie czuje samej rzeczywistości, którą ma mu się przedstawić, po prostu przestaje w nią wierzyć.

Czy to jest problem zle techniki pisarskiej, czy czegoś więcej? Wydaje mi się, że sprawa leży w czymś innym. Nasze dziennikarstwo na ogół nie ma zbyt dobrych tradycji, zwłaszcza w sferze, o której tu mowa. Wiąże się to zresztą ze złą tradycją w ogóle — historycznego braku zainteresowań dla problemów gospodarczych, dla zagadnień techniki, dla spraw procesów cywilizacyjnych.

Właśnie ten brak tradycji sprawia, że nasi dziennikarze nie mają właściwych narzędzi, nie mają języka, którym potrafiliby dać czytelnikowi wizję, a równocześnie prawdziwość wypunktowaną wiedzę o przedmiocie.

Tu powracam do sprawy. Żeby móc pisać dobrze o przemysle włókienniczym, trzeba znać gruntownie sam problem. Zapoznanie się z problemem, w braku jakichś prawidłowych studiów, może doskonale moim zdaniem się spełnić właśnie przez formę wycieczek, w czasie których prócz pejzaży (można prywatnie) uczestnik zdobywa ogląd warsztatów produkcyjnych wszelkiego typu, ale i coś więcej — wycieczka jest dla niego pewnego rodzaju seminarium, na którym w granicach, oczywiście, możliwości zdobywa metodą skrótowną dostateczną wiedzę o całym splocie zagadnień, które składają się na wyczerpujący obraz oglądanej gałęzi przemysłu.

Jak to technicznie wykonać? Sprawa ważna są uczestnicy. Należałoby tu uniknąć momentu przypadkowości. Biuro wycieczki powinno na długo przed samą imprezą ustalić w porozumieniu z redakcjami listę kandydatów. Byłoby wskazane zaprosić

literatów, którzy grawitują ku pisarstwu reportażowemu, a także tych, którym problemy gospodarcze i społeczne są bliskie ze względu na zakres pracy twórczej. Kandydaci powinni mieć wcześniej dostarczony materiał, orientujący o potencjale danej gałęzi przemysłu, o jego udziale w ogólnej gospodarce narodowej, naprasza się tutaj do przestudiowania sprawa konsumpcji wewnętrznej i możliwości eksportowych, produkowanego w danej branży towaru. Kwestia następna to narzędzia produkcji i najważniejsze — człowiek, robotnik funkcjonujący w nowym ustroju. Tak przygotowany kandydat będzie oglądał taki czy inny przemysł, już w pewnym systemie. Pozwoli mu to koncentrować uwagę na sprawach specjalnie mu bliskich. Powinno tu być oczywista jakieś sensowne rozszereczenie zainteresowań. Bo poco nam później pięćdziesiąt identycznych reprodukcji. Pracę obserwacyjną należałoby tu precyzyjnie rozłożyć.

Sama już wycieczka byłaby ilustracją, przykładem; ogląd dostarczyłby emocji wizualnych, uzupełniających poznanie teoretyczne. Suma dwóch ciągów: intelektualnego i „postrzeżeniowego”, stworzyłaby dla uczestników wycieczki dostatecznie silne bodźce, w następstwie których mogłoby powstać tak dobry reportaż, jak dobrą jest praca robotnika i inżyniera. Gdy te warunki nie zostaną spełnione, dziennikarze w porównaniu z ludźmi przemysłu będą tylko dyktantami, ich wytwory nie spełnią wcale tej roli, jakiej się od nich oczekuje.

Powiedziałem, że wycieczka powinna być swojego rodzaju seminarium. Uczestnicy wycieczki jak zaobserwowalem to na ogół ludzie młodzi, ludzie dobrej woli i entuzjazmu. Te propozycje przyjęliby na pewno bardzo dobrze. Dwanaście dni poświęconych jednemu zagadnieniu, to nie jest mało. Można się kołosalnie dużo nauczyć, można się poważnie uzbroić do dalszej pracy zawodowej. Otoż co

tu można by wprowadzić. Wycieczka, w której brało udział około pięćdziesięciu dziennikarzy i literatów, powinna mieć dwóch dobrych specjalistów od danej gałęzi przemysłu, specjalistów z dużymi zdolnościami dydaktycznymi. Ci mogliby się posłużyć formą naukowej gawędy. Nie mogłaby to być „męcząca pila” ale właśnie gawęda, anegdota, facha „causerie”. Uprawiają to świetnie Francuzi. Do tego rodzaju rozmów „ufachowionych” okazji w ciągu trwania wycieczki byłoby mnóstwo. Uczestnicy przekształciliby się wówczas w określoną „grupę społeczną”. Ich zaangażowanie w sprawę byłoby o wiele silniejsze, ich sfamiliizowanie z problemem daleko posunięte. Takie „ustawienie” dziennikarza — wycieczkowicza pozwoliłoby mu inaczej już oglądać i sam proces produkcji (a są to sprawy bardzo skomplikowane, patrz: artykuł R. Matuszewskiego „Kuznica” Nr 30).

Pozostaje problem człowieka. Oglądaliśmy demy kultury, żłobki, ambulatoria, teatry świetlicowe, robotnika przy maszynach. Zbliżyć się do robotnika nie mieliśmy okazji. Były uroczyste powitania przez dyrekcję czy przez tak zwane „czynniki lokalne”, były obiady, kolacje uroczyste, na których nie było braci robotniczej. Jasne, że trudno ludzi odrywać od warsztatów pracy, ale jakżeż można pisać o robotniku, gdy się nie zadzierżgnie z nim jakichś serdeczniejszych, towarzyskich nawiązań. W stołówkach fabrycznych siadaliśmy do stołu, przy którym nie było gospodarza. Można byłoby, chociażby kilkunastu przodowników pracy posadzić z dziennikarzami przy obiedzie czy kolacji. Należałoby to się chyba obu stronom. Uczestnicy wycieczki załatwiali to własnym sposobem. Szybko przebiegając przez hale, przyciskali „do muru” to tego, to owego z pracowników, rzucając często w pośpiechu kłopotliwe dla robotnika takie czy inne pytanie w stylu: „ile pan zarabia, jak się pan czuje” itd. Dziennikarz powinien mieć wiedzę, ile robotnik zarabia i dlaczego właśnie tyle zarabia. W rozmowach, prowadzonych swobodnie, właśnie w jakiejś serdeczniejszej atmosferze można by wyjaśnić sobie cały szereg tak zwanych „drażliwych spraw”. To byłoby zadanie dziennikarza. Robotnik w masie swojej przechodzi dziś zasadniczą ewolucję, musi on dokonać trudnej przebudowy wewnętrznej, niech by chociaż w drobnym ułamku, doniosłoby mu do tego te przelotne kontakty ze światem ludzi, którzy z racji swojej funkcji społecznej obowiązani są z nim w tej strefie współpracować.

Wypowiedź swoją traktuję jako głos dyskusyjny. Sprawa wydaje mi się na tyle ważna, że właśnie pisarz ciągle nie nadaje w swojej funkcji. Gdyby odważył to, co na Ziemiach Odzyskanych zrobił polski robotnik i inżynier z literackim i dziennikarskim pokwitowaniem tego przez ludzi pióra, wówczas dysproporcja dla pracowników kultury byłaby zenująca.

Władysław Błachut

## Z szlachtą polską polski lud

**P**RZERZUCAJĄC w gościnnych murach Biblioteki Jagiellońskiej połówkę ze starożytnej karty czasopism dzielnicyowych z 1848 r., natknąłem się w poznańskiej „Gazecie Polskiej” Nr. 32 z dnia 29 kwietnia 1848 r. na niezwykle ciekawą i charakterystyczną relację wieśniaków galicyjskich, wysłanych w deputację do cesarza w Wiedniu w sprawach związanych ze zniesieniem powinności pańszczyźnianych. Jest to: „sprawozdanie Wojciecha Boniura z Rzędzina i Stanisława Mielaka ze Skrzyszowa, gospodarzy ziemskich obwodu tarnowskiego, deputowanych z innymi obywatelami z tej części Małopolski, którą dziś Galicyą zowią, przybyłych do Wiednia dnia 27 Marca 1848 r., w poniedziałek, w celu narad o wolność swych ziemiaków”.

A oto treść sprawozdania w interesujących nas trzech wyjątkach:

„Kochani a miłi nam Bracia! Ziemiakowie! Jeżeli kiedy to teraz przekonał się, że Państwo nasi szczerze nam chcą i dobrze żyć a po pocziwem. Widzieliśmy ich bowiem jak radzili w kole o dobru naszym, naszych żon i dzieci, naszego gospodarstwa i naszej roli na przyszłość. Ażebyśmy zaś o tem przekonani Was opowiemy tu, cośmy słyszeli i sami widzieli w Wiedniu przez te dni, bo byliśmy przytomni ich naradom wszystkim, i sami do nich należeliśmy, i bez nas nie było uradzone na cośmy własnymi nie patrzyli oczyma, i własnymi nie słyszeli uszema.

Rzecz zaś cała miała się tu tak:

Przyjechaliśmy tu najprzód koleją żelazną do Wiednia, na jest wozem takim, którego żaden koń, ani też dobytek jaki inny nie ciągnie, tylko para, a to haniebnie że aż piszczy jakby lacyper jak... Przyjechaliśmy tedy tam do Wiednia, onego wielkiego miasta w poniedziałek to jest 27 Marca 1848 r., a wszędy swar! — niceśmy nie rozumieli. Pytamy się panów naszych: „co to jest?” — a oni odpowiadają nam: „Ha! bo to nie Polska ale Niemcy; nie umiemy po polsku rozmówić się z człowiekiem jak to u nas cośmy to wszyscy Polacy”.

Potem pojechaliśmy fiakrami do miasta. Jednym fiakrem jechało Xiąże nasze Sanguszkowe, a my z nim z Panami Hussakowskim, Palestrem, wójtem żydowskim z Tarnowa, i lokajem Xiecia, stanęliśmy tam, gdzie Pan Machalski nie mieszkał i tam czekaliśmy wraz aż do czwartku, póki panowie ze Lwowa tu nie przyjechali do nas.

Jak przyjechali, czekaliśmy tak aż do poniedziałku drugiego, to jest do 3 kwietnia. W ten tedy poniedziałek, zeszliśmy się na salę wszyscy kędyśmy obradowali ciągle od rana do południa, a często i do nocy późnej; i byliśmy przez cztery sessye tak, i słyszeliśmy wszystko jak panowie nastawali na to i przystawali, ażeby do Cesarza to podane było. I czytali nam wszystko i podpisywali się na to, żeby pańszczyznę i danin nie było i dziękowali nam za to w imieniu gromad naszych, jako deputowani od wszystkich, bo było dziękować za co. Otoż na tem jno stoi, teraz jeszcze, aby Cesarz poślatek panom odpuścił ubrany, który o placającą dziedzie od pańszczyzny i od wszelkich danin, cośmy im dawali. Ot-że teraz panowie darują nam wszelką pańszczyznę i daniny.

A gdyśmy tak uradzili to z panami wraz, i podpisali też z nim do Cesarza podanie to, takeśmy zaraz też na drugi dzień po świętym Wincentym, to jest dnia 6 kwietnia w czwartek poszli wszyscy do Cesarza — panowie nasi, mieszczanie, żydy i ci wszyscy, co z nami byli, i my też w kerezyach krakowskich cośmy je tu przywieźli ze sobą, trzymając się z panami pod ręce, ja, Wojciech Boniur z jednym panem z Krakowa po polsku ubranym w kontusz, a Stanisław Mielak znowu z panem Pieniążkiem po polsku ubranym też. Xięża też Dobrodzieje byli z nami, biskup przemyski na samym przodzie. I tak szliśmy przez miasto aż do zamku cesarskiego, kędy miasto całe witało nas straszczem, okrzykami radości i dziwiło się cudnym strojom polskim.

Przybywszy do pałacu Cesarza weszliśmy na pokój zioście, kędy wielu panów z gwardii cesarskiej przyjmowało nas. Stanisław Mielak pozostał w przedpokojach wraz z innymi panami, a nas dwonastu, to jest z każ-

dego stanu jeden, wpuszczeni byliśmy do Cesarza.

Ja, Wojciech Boniur wraz z panami Deputowanymi wszedłem do Cesarza też. Cesarz miał spodnie jak generał — frak siwy, miał gwiazdę na piersiach ze czterema guzami świecącymi złotem. Pod szyją miał spinki miał baranka złotego — faworyty siwe, włosy pięknie umuskane siwawe — oczy siwe — na twarzy niby obrzmiał, wzrostu małego. Xiąże Lubomirski Jerzy czytał mu od nas podanie; bo cesarz się domagał tego. Dopiero wziął karteczkę od ministra swojego i przeczytał nam w głos to co było napisane. Potem odbrał podanie nasze od Xiecia Lubomirskiego i ukłonił się nam do trzech razy a my wzajemnie do kilkunastu razy jemu, i wyszliśmy stamtąd. Na karteczkę tej co Cesarz czytał nam było po niemiecku to co w języku polskim wykladał się tak: Przyjmuję jak najczelniej prośby deputowanych naszych galicyjskich i rozkazuję, ażeby wszystkie życzenia ich były natychmiast pod rozwagę wzięte, a o ile te dobro kraju mają na celu, ażeby były jak najrychlej rozstrzygnięte.

To tłumaczył nam Biskup i Xiąże Lubomirski, Jerzy i każdy co umie po niemiecku powiemy Wam to samo. Słyszało nas wszystkich dwonastu cośmy przed Cesarzem byli, przeto też i każdemu z Was, Bracia! Ziemiakowie i Gospodarze nasi! do wiadomości Waszej tu sumiennie podajemy, ażeby nikt z nas żadnych fałszywych mów, co to braci z braćmi wicherzą nie słuchał więcej od nikogo; lecz ażebyśmy wiedzieli komu to w Ojczyźnie naszej dobro to winniśmy, i oddać wszystkich panów naszych co tak Polakami są jak i my, miłością bratnią kochali...

A przed naradami temi wszystkimi byliśmy w kościele św. Ruprechta w sobotę, kędy ksiądz jeden nasz po polsku miał kazanie do nas, abyśmy Boga prosili o jedność a błogosławieństwo we wszystkich naradach tych, co tedy się dobra całego narodu naszego polskiego, który wraz z Wami Gospodarze i Bracia Bogu polecamy tu i na to znakiem krzyża świętego podpisujemy się, bo to prawdą wszelką cześć powinien żyć. Wiedeń, dnia

8 kwietnia 1848 r., Boniur Wojciech, kmieć z Rzędzina xxx Mielak Stanisław, zagrodnik xxx, jako nieumiejących pisać podpisałem Wincenty Smagłowski Deputat.” Następują podpisy 19 świadków.

Z treści tego niezwykle ciekawego dokumentu możemy łatwo zorientować się w atmosferze okresu poprzedzającego bezpośrednie zniesienie pańszczyzny w Galicji. Oto z jednej strony klasa uciemiężonych wiekową niewolą osobistą, gospodarczą i polityczną chłopów, którzy wyalnaczyli maszyną parową porównują do Lucyfera z piekła rodem, z drugiej zaś górna warstwa braci szlacheckiej, doskonale zdającej sobie sprawę z idącą przez świat ideą wolności osobistej człowieka i pragnącej na wszelki wypadek zabezpieczyć się przed ekscesami z 1846 r. i zdobyć zausanie uwłaszczenia przez rząd austriacki chłopów. I gdy ówczesny ciemny wieśniak galicyjski na ogół trafiać zdawał sobie sprawę z tego, że ew. wyzwolenie zawdzięczał będzie cesarzowi, szlachta potrafiła znaleźć od zarania ruchów chłopów aktywnej ziemi krakowsko-tarnowskiej przedstawicieli chłopskich, którzy stali się rzecznikami jej dobrej — rzekomo — woli i oddania sprawie uwłaszczenia chłopów. Przebrała tych naiwnych deputatów w krakowskie kierezyje, „oprowadzała po ulicach Wiednia” („Pawiem narodów byłaś i papugą”) i wprowadziła nawet na salony cesarskie! Po zorientowaniu się w sytuacji sporządziła protokół o swych najlepszych dla chłopów intencjach i kazała go podpisać krzyżkami naszym niepiśmiennym delegatom. W ten sposób ci ostatni stali się nieświadomie tarczą ochronną dla interesów szlacheckich i trąbą jerychońską ich więcej niż wątpliwej łaskawości.

A tymczasem wypadki szybko następowały po sobie i niedługo akt łaski (zresztą wyrachowany — „dzieli i rząd”) cesarskiej przywrócił chłopom galicyjskim zniesienie niewoli pańszczyźnianej i pierwsze prawa natury politycznej. Jest rzeczą charakterystyczną, że ani jeden z tych dwóch delegatów do Wiednia nie wszedł następnie do parlamentu austriackiego.



## „Wohltemperiertes Klavier“ — nie dla Grójca!

W „Dialogu o muzyce“ („Tygodnik Powszechny“ nr. 32 (177)), proponuje Kisiel wyjście z upatrywanych sprzeczności pomiędzy społeczną koniecznością upowszechnienia muzyki, a tzw. elitaryzmem muzyki nowoczesnej: „Wyjściem tym” pisze Kisiel „jest dualizm pracy muzycznej, konsekwentna, szczerza, programowa dwutorowość: jedni muzycy muszą pracować nad popularyzacją muzyki wśród ludu, nad kształceniem, przygotowywaniem masy odbiorców, inni zaś twórcy, muszą kontynuować górny ciąg ewolucyjny, linię osiągnięć absolutnych, często nawet „elitarnych“.

Ta być może prawda w każdym razie w uśtach niesprawiedliwego, opatrzone jest dalej pesymistycznym, a wiele znaczącym, jak na „Tygodnik Powszechny“ zastrzeżeniem: „Fuga Bacha z „Wohltemperiertes Klavier“ nigdy, w żadnym ustroju, nie będzie się nawała „dla mas“ — z tego jednak nie wynika wcale, że należy wyrzucić ją na śmietnik. Państwa budujące swą kulturę planowo i opierające ją na masach odbiorców, zrozumiały przecież konieczność elitaryzmu w dziedzinie nauk ścisłych — w fizyce, chemii czy matematyce, rozumiały, że należy szkolić i hodować nieliczne kadry naukowców — specjalistów, którzy zagłębiają się w dziedziny badań tak abstrakcyjne i dla mas niedostępne, jak choćby budowa atomu“.

Nec sutor ultra crepidas, ale już mnie, nie fachowca, nie przekonuje dowodzenie potrzeby elitaryzmu „wyższej“ muzyki — czerpaniem przykładów spoza sztuki, z nauki i różnych naukowych umiejętności. W ten sposób można by zaiste nie wiadomo dokąd, bo sprawa budowy atomu, tak samo jak zegarka albo pieca jest przede wszystkim rzeczą specjalności, a w rzadkich tylko wypadkach amatorstwa. — Z muzyką inaczej, gdyż stosunek amatorstwa do profesjonalizmu wyraża się tam niewspółmiernie wielką pozycją po stronie miłośników, a małą po stronie uzdolnionych i przy tym wykształconych zawodowców.

Przecież dzieci mieszczańskie, biegające z futerałami nut pod pachą, walące łatami w fortepian, na nieszczęście domowników i sąsiadów, to jeszcze wcale nie przyszła elita muzyczna. Daj Bóg, żeby chociaż muzykalna publiczność, amatorzy bynajmniej nie na szczeblu „górnego ciągu ewolucyjnego“.

Niepojęte są zjawiska muzykalnienia, zalegające od wrażliwości ucha jednostki, wszystko jedno czy z „masy“, czy z „elity“ — z własnym fortepianem i nauczycielem, któremu na ogół biorąc nie czyni różnicy kogo uczy: geniusza muzycznego czy fenomena nie-muzykalności.

Kisiel nie bierze pod uwagę w swych „Dialogach o muzyce“ faktu, że od lat dwudziestu przebiega żywiołowy proces przyspasabiania mas do „wyższej muzyki“ pod wpływem radia. I to coś znaczy i liczy się chyba.

Najbardziej jednak zdumiewające w felietonie Kisiele jest przeoczenie — może przemilczenie — znanej okoliczności, że osłuchanie się mas, „ludu“, z poważną i tzw. elitarną muzyką jest starej daty. Te masy karmione są muzyką Jana Sebastiana Bacha (kantaty, msze, pasje, fugi) od lat chyba dwustu pięćdziesięciu, muzyką Wolfganga Amadeusza Mozarta od lat pewnie stu pięćdziesięciu, a Palestriną od jeszcze dawniej, wszystko to w kościołach i kościółkach Grójca, Nagarżyna, Krakowa, Koziej Wólki itd. po szerokim świecie. Prawda, że bez zaznajomienia z nazwiskami kompozytorów, bez podawania czasu powstania utworu i bez komentarza — pozwólmy, bo o masy idzie — choćby programowego.

To obcyce muzyczne chodzących do kościoła, samo się naprasza o zdyskontowanie w akcji upowszechnienia elitarniej muzyki, po odrobieniu zaległych braków o charakterze zaledwie bibliograficznym. Tę zaległość odrabia Zofia Lissa, czego Kisiel nie może jej darować.

We wcześniejszym felietonie niż „Dialogi o muzyce“ („Upowszechnienie kultury“ — „Tyg. Powsz.“, nr 19 (164)), pisze tak samo Kisiel: „akcja upowszechnienia kultury nie może w niczym wpływać na twórczość kulturalnej „góry“ — są to dwie różne rzeczy, nie mogą ze sobą kolidować, nie mogą być robione przez tych samych ludzi, muszą być rozdzielone. Gdyby Palester grał dzisiaj swoją tymfonię w Psiej Wólce, a Breza czytał swe utwory w Kaczyn Dole — nie miałyby to jeszcze żadnego sensu i wyszłoby na zle obu stronom. Bowiemy masa nie jest na razie gotowa itd., itd.“.

Kto w lasku ten w lasku, kto w piasku ten w piasku. Palester nie będzie komponował tych „masówek“ i nikt go do tego nie zmusi, nie spłodzi też Kapyckich symfonii, nawet jakiejś „in blue“. Ale Kisielowi nie chodzi tyle o produkcję muzyki ile o jej konsumpcję, ten akcent mu się narzuca.

Kisiel wie dobrze, że masy znają starych „elitarnych“ mistrzów „ze słuchu“ tylko, ale to nie znaczy, że nie znają wcale. Radziecki chór Smiesznikowa śpiewał niedawno w różnych okolicach Polski utwory rosyjskie. W repertuarze znalazła się jedna pieśń, „Crucifixus“ o łacińskich słowach — to dla Polaków przez kurtuazję, brzmiało to — ho, ho! — jak u św. Krzyża na sumie. O tym naszym masowym wyrobie w „wyższej“ muzyce wiedzą więc daleko i szeroko.

Kisiel głosi separację twórczości muzycznej: pierwsza ranga, druga, a może i trzecia. Nie ma za to wcale wyraźniejszej koncepcji co do upowszechnienia tej twórczości w jej szczytach między masami.

Co to znaczy bowiem, że Palester nie powinien występować ze swą symfonią w Koziej Wólce? Czy to nie to samo, co przedwojenny spór o uniwersytety, obrona czystości „elitar-

# F A K T Y Z D A N I A

nej nauki“, obawa o zachowanie „wyraza“ uniwersytetów, przeciwdziałanie „wulgaryzowaniu“ wiedzy bezinteresownej itp.

Idąc po tej linii socjologicznej spekulacji na muzyce, dojdzie Kisiel, chciał nie chciał, do swoistej koncepcji upowszechnienia, umasowania muzyki.

Znali ją kiedyś Niemcy. Wyglądało to o-brzydliwie, tak mniej więcej.

W niedzielę, w parku miejskim gra orkiestra, najpierw np. wstęp do „Tannhäusera“ — publiczność aprobuje, „wunderschön“. Potem „Post im Walde“ z ukrytym w krzakach kornecista (owo; tra-ta, ta-ta, jakby z najprawdziwszego dyliżansu) — też „wunderschön“. Niemieckie upowszechnienie kultury — Waldteufel z Wagnerem na przekładni. A już sam Wagner, sam Bach, sam Mozart tylko w zamkniętej filharmonii. „mit'm Visitentracht-zwünge“.

To Kisielowi najbardziej odpowiada. Tylko, że masy ludowe w Polsce znajdują się na wyższym szczeblu oglądy kulturalnej, niż się to wydaje środowisku „Tygodnika Powszechnego“.

## Kurierowskie lewactwo

W wydawanym w Łodzi „Kurierze Popularnym“ (nr 210 (994) w artykule „Musimy iść z postępem“ czytamy co następuje: „Stary samochód po remoncie robi próbę wytrzymałości silnika i rozklekotanej karoserii. Naraz jęknął, zgrzytnął i stanął. Kierowca, podniósłszy maskę wozu, zaczął coś majstrować, a my idziemy na mleko do pierwszej z brzegu chaty.“

Właśnie wjeżdża na podwórze wóz naładowany zbożem. Przed samą stodołą łamie się jedna z drabin i ciężkie snopy żyta, osuwają się na ziemię. Gospodarz nie traci pogody ducha. Zapalał papierosa. Nawiązuje się rozmowa. Dowiadujemy się, że żniwiarz gospodaruje na 8 ha, ma liczny inwentarz i należy do gospodarzy, którym powodzi się nie-źle.

— Chłop nigdy nie narzeka na robotę — mówi. — Ciężkie warunki bytu ucą go od najmłodszych lat znoju i biedy. Dużo poprawiło się od czasów sanacji, ale uważam, że sama reforma rolna nie usunęła naszych wszystkich kłopotów. Według mnie, należy w rolnictwie używać więcej maszyn. Ja używam do pracy plugi i kosy, a mój dziadek miał sierp i sochę drewnianą. Moje dzieci będą orać plugiem motorowym, siał siewnikiem, kosić żniwiarką, młócić elektryczną młockarnią.

## KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

**Państwowy Instytut Wydawniczy**  
Stanisław Wyspiański — Wesele str. 316  
Lucjan Rudnicki — Stare i nowe, str. 215  
J. O. Curwood — Bari, syn szarej wilczycy, str. 243  
J. O. Curwood — Najdżikse serca, str. 218  
J. O. Curwood — Szara wilczyca, str. 243  
Hanna Malewska — Kamienie wołać będą, str. 331  
Maksymilian Meloch — Sprawa włociańska w powstaniu listopadowym, str. 212  
Henryk Sienkiewicz — Krzyżacy tom I, str. 476, tom II str. 560.

**Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana**  
Jan Parandowski — Król życia, str. 242.  
Lucyna Krzemieniecka — Lala Lila w samolocie, str. 27.

**Związek Gospodarczy Spółdzielni RP.**  
Prof. St. Turczyński — Eksploatacja torfowisk i użytkowanie torfu, str. 304.

**Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P.**  
Blinowski Fr. — Niektóre zagadnienia spółdzielcze, a ustrój socjalistyczny, str. 15.  
Prof. Różanowski M. — Najważniejsze wiadomości o materiale siewnym str. 120.

**Centralna Księgarnia Rolnicza — „Samopomoc Chłopska“**  
Piotrowski Stanisław — Manifesty, str. 108.

**Spółdzielnia Pracy — i Użytkowników „Czytelnik“ w Krakowie**  
Artur Maria Swinarski — Legenda o mądrem mężu, str. 73.

**Księgarnia A. Tujakowski — Toruń 1948 r**  
Czerwiński Józef — Testament młodości, str. 124.

— Co myślicie o spółdzielniach produkcyjnych, czy one pomogą chłopom?

— Myśl o takiej spółdzielni zrodziła się we mnie na długo przed wojną. Zastosowanie odpowiedniego płodozmianu i nawozów sztucznych oraz maszyn rolniczych musi dać lepsze plony, a zmniejszyć ilość pracy przypadającej na członka spółdzielni. Więcej wolnego czasu chłop wykorzysta na czytanie książek, gazet, słuchanie radia i dyskusje wzajemne, które rozwijają umysł.

Nawał roboty przyniata chłopu, pracującego bez sił najemnych. Przecież mogą wyznaczyć pewną ilość godzin na pracę i wykonać ją nowoczesnymi narzędziami, a resztę wolnego czasu poświęcić na naukę i rozrywkę kulturalną. W naszej wsi do takiej spółdzielni produkcyjnej przystąpią wszyscy gospodarze — zapewnią. Zbudowaliśmy wspólnymi siłami cegielnię polową, będziemy mieć wkrótce własny Dom Ludowy. Musimy iść z postępem“.

Oto majstersztyk dziennikarski. Króciutki artykuł, a czego w nim nie ma? Zepsuty samochód, ale za to okazja do sielanki z mlekiem i do stworzenia rodzajowego obrazka: wóz naładowany zbożem, ciężkie snopy żyta łamią drabinę, napotkany pierwszy z brzegu, przeciętny gospodarz (naturalnie pogodny) przystaje, redaktorski papirusik i rozmówka. O czym? Wiadomo, że nie o zepsutym samochodzie, bo to szofera głowa i oczywiście nie o wywalonej drabinie u wozu, bo cóż to za temat? Gospodarz daje wykład na temat narzędzi rolniczych i ich roli w zwiększaniu produkcji rolnej. No i (naturalnie) spółdzielnie produkcyjne... Dawno przed wojną rozpoczął ów gospodarz ich wypatrywanie. Wszyscy inni chłopci w tej wsi — również zapewne z żonami, dziećmi i nieomal że z miejscowym księdzem i b. właścicielem folwarku. No i nareszcie min. Minc w lipcu br. na plenum KCPPR zgłasza ich projekt. Zatem będziemy świadkami spontanicznego zakładania spółdzielni produkcyjnych. Malenki jeszcze kroczek i socjalizacja rolnictwa będzie dokonana. Ot co!

Normalnie droga do tego stanu prowadzi przez zawiązią i często długo trwającą walkę klasową, przez przebudowę sposobu myślenia, nawyków i w ogóle kultury na wsi, ale obecnie w Polsce, według opinii reportera z „Kuriera Popularnego“, te komplikacje już nie istnieją. U nas przeciętny, pierwszy z brzegu spotkany chłop, obojętnie — biedny czy kułak — chce zakładać spółdzielnię produkcyjną. Stan rzekomo identyczny ze stanem w

Jugosławii w relacji Tito. Tam też chłop gwałtem podobno domagają się spółdzielczej produkcji.

Do diabła z takim „lewactwem“. Niech pan, panie dziennikarzu, przestanie jeździć w pobliżu wsi!

Kp.

## Uwaga chorzy!

Czytelnicy i redaktorzy pism tak są zepsuci nadmiarem wiadomości o niezwykłych osiągnięciach w Polsce, że niejednokrotnie w powodzi ich nie zwracają należytej uwagi na zjawiska pierwszorzędnej wagi.

Kogóż na przykład z „szarych obywateli“ nie interesuje żywo sprawa upowszechnienia leczenia, zwłaszcza zaś udostępnienia kliniki przeciętnemu pracownikowi pomocy dentystycznej. Toż to obecnej chwili dla wielu ludzi jeszcze luksus. Znajoma dentystka, która nawiasem mówiąc za plombę bierze tylko 500 zł. po znajomości, zalała się, że Urząd Podatkowy nie dał wiary jej zeznaniu o dochodzie opiewającym na 30.000 zł. miesięcznie. Bardzo rozgoryczona była biedaczka, bo i skąd brać wtedy na dwie służące, dwumiesięczny wyjazd nad morze i zimą na sezon do Zakopanego, a przecież mąż nie pracuje. Obawa popełnienia nietaktu wstrzymała mi na ustach uwagę, że chyba wypadnie biedaczce sprzedać złoty zegarek i tych kilka pierścionków, które ostatnio od ust sobie(?) odejmując kupiła. Ponieważ sam od powstania nie mogę sobie kupić zegarka, poczytałoby to za drwinę. Takie to czasy! Wracając przecież do rzeczy — trzeba stwierdzić ze smutkiem, że skoro czynniki miarodajne, poza Urzędem Skarbowym, nie kwapią się z przyspieszeniem upowszechnienia tych zawodów, przypuszczaliśmy, że będziemy nadal narażali naszych lekarzy na kolizję z moralnością i Urzędem Skarbowym. Tymczasem... To jest właśnie ów niesłychany doniosłości fakt. Oddajmy przecież głos jednemu pismu, które nieustraszenie trzymając rękę na pulsie spraw społecznych fakt ten zasygnalizowało. Tym razem zastaga należy do tygodnika „Dziś i Jutro“.

### LEKARZE I LEKARZE DENTYŚCI NA JASNEJ GÓRZE

„Cóż pomoże człowiekowi, jeśli by wszystkich świat zyskał, a na duszy swojej szkoda poniósł?“

Tymi słowy rozpoczęła siostra, dr med. Wojno konferencję pielgrzymkową lekarzy i lekarzy dentyistów na Jasnej Górze.

W dniu 3 i 4 lipca br., zgromadziło się w Częstochowie około 150 przedstawicieli tych zawodów, na trzeciej powojennej, co roku licniejszej, pielgrzymce lekarskiej.

Uroczyste nabożeństwo przed Cudownym Obrazem celebrował J. E. ks. bkp. Czajka, który po mszy świętej, wygłosił podniosłe, okolicznościowe przemówienie.

W czasie konferencji wygłoszono następujące referaty:

Siostra dr Wojno „Życie wewnętrzne lekarza, a jego praca zawodowa“. Lek, dent, Perliński „Miłość motorem pracy lekarskiej“. Dr Hagmajer „Problemy zawodowe lekarza-katolika“. Ksiądz dr Wiśniewski „Drogi i bezdroża medycyny“.

Dominantą przemówień było stwierdzenie konieczności pełnego zajęcia się chorym pod względem duchowym i somatycznym w czasie leczenia, oraz zwrócenie uwagi na poziom moralny lekarza.

„Wieczór Maryjny“ w dniu 3 lipca, prowadzony przez lek. dent. Janinę Cyranową, pozwolił uczestnikom na głębokie przeżycie tematów maryjnych. Parafraza „Pod Twoją Obronę“, oraz recytacje, objęły akty prośby, dziękczynienia i uwielbienia.

Inicjatywa lekarzy - dentyistów katolickich winna znaleźć jak najwięcej naśladowców wśród innych zawodów. Tyle „Dziś i Jutro“.

Należy przypuszczać, że na owej konferencji (patrz referaty: „Życie wewnętrzne lekarza, a jego praca zawodowa“, „Miłość motorem pracy lekarskiej“, „Problemy zawodowe lekarza - katolika“ i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy) poruszono także sprawę wygórowanych i niedostosowanych do zarobków innych ludzi pracujących — honorariów lekarskich (złotliwy kolega podszeptuje mi, że mogłoby to zmącić konferencję, czemu, rzecz prosta, nie wierzę).

Oczekuję tedy, że w następnym numerze „Dziś i Jutro“ poda nam listę (wraz z adresami) owych lekarzy i lekarzy - dentyistów.

Na początek choćby tylko tych, dla których „Miłość motorem pracy lekarskiej“. I przykład stanowią chlubny i wiadomo będzie do kogo się udać po pomoc lekarską w potrzebie. Co zaś do innych zawodów — to możeby tak szewców skłonić do pielgrzymki na Jasną Górę? (wyobrażam sobie nawet, jakie byłoby tytuły referatów — acz znów mój kolega redaktorzy (niedowiarek i marksista rzecz prosta), twierdzi, że daleko skuteczniejsze wobec nich są transporty obuwia czeskiego).

Józef Otczajny

## W OSTATNIM NUMERZE 30—31 (159—160) z dnia 25 lipca — 1 sierpnia 1948 r.

„Młode pokolenie chłopów“ (w dziesiątą rocznicę); **Piotr Chmura** — Bóg na lewicy; **Mieczysław Grad** — Spór o młode pokolenie; **Jerzy Miller** — Do Andrzeja; **Stanisław Cieślak** — Plany regionalne; **Jan Aleksander Król** — Tradycja, ale jaka?; **Stefan Czarnowski** — Reakcja katolicka w Polsce; **Andrzej Braun** — Statek w Anglii; **Jerzy Falenciak** — O włoskich chłopach; **Piotr Piłgwa** — W Samopomocy Chłopskiej; **Jakub Litwin** — Drobnomieszczańskie społeczeństwo; **Feliks Połec** — Mój pamiętnik; **Anna Kamińska** — O poetyczności w poezji; **Paulina Czyżowa** — Sito dla literatury; **Fakty i zdania**; **Komunikaty**; 14 ilustracji; 12 stron.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPIŚÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł;

1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 8.000,— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133, telefon 100-98

Warunki prenumeraty: miesięczne 60,— zł. kwartalne 180,— zł. półroczne 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, Żwirki 2.

D-025534